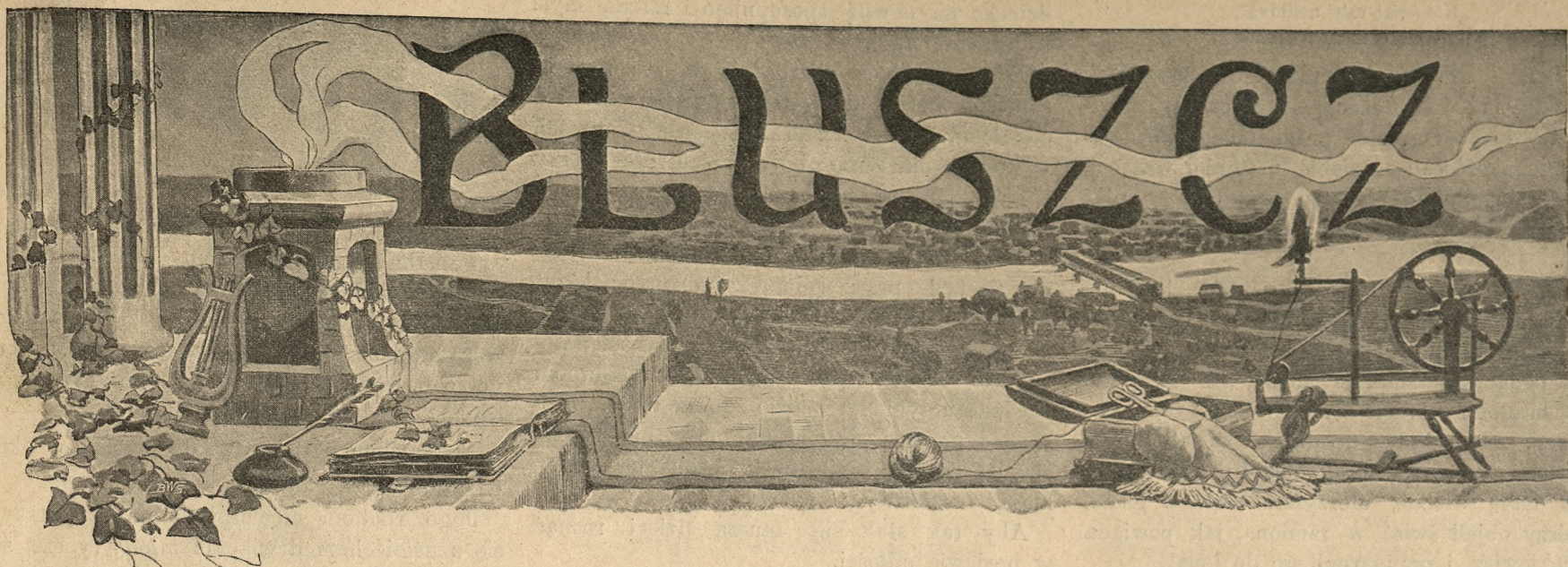




PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20, półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50, rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego” w Poznaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,60.

O SZCZĘŚCIE DZIECKA.



V.

Samolubstwo.

Zdaje się, iż samoluby są najszczęśliwsi. Wszystko sobie zagarną, zaborą, o sobie tylko myślą, o sobie się troszczą, życie całe poświęcają, ażeby tylko sobie dogodzić...

Jednak, dla czegoż są nieszczęśliwi?

Bo nie noszą miłości drugim i tej u ludzi nie znajdują. Samolubstwo właśnie przez to samo, iż chciwymi pazurami wszystko sobie przygarnia, szczęścia nigdy nie daje.

W wychowaniu dziecka walka z samolubstwem zaczyna się najpierw. Półroczne dziecko już objawia samolubstwo. Roczne dziecko pieni się, tupie, zanosi się w gniewie wtedy, gdy mu nie dadzą tego, czego ono chce i po co rączyny wyciąga.

Samolubstwo dziecka objawia się w łakomstwie, samowoli, uporze, pieszczotach.

Jest to, jak rzekł pewien z psychologów: „pół anioła i pół małpy” — anioł poczyną się zniżać, małpka poczyną się dźwigać, aż stanie człowiek wyrobiony.

Nie jest to porównanie obrazą dziecka. Tak jest, pół małpki odkrywa ten w dziecku, kto na nie patrzy uważnie i badawczo. Instynktów jest wiele — naśladowanie tego, co widzi bezustannie. Chciwość, niezmierzona chciwość objawia się w woli dziecka i jeśli pedagogiczny kierunek nie będzie zwalczał chciwości, wyrośnie człowiek-samolub, strasznie szpetny duch, który nikomu szczęścia nie przyniesie i sam sobie go nie znajdzie.

Przez pieszczoty i zbyt miłość, najczęściej rodzice wrodzone samolubstwo u dzieci potęgują. Za mało mają hartu i siły woli

na to, ażeby rozpocząć walkę z żądaniami dziecka; zdaje im się, że to barbarzyństwem jest odmówić tego dziecinie, po co ono rączki wyciąga, do czego rwie się i rzuca z całą siłą. Tem zaś dogadzaniem, dostarczaniem wszystkiego, czego dziecko zapagnie, wyraża się samolubstwo coraz większe i potem staje się tak głęboko wkorzenione, że nigdy nie będzie już usunięte.

Gdy dziecko upomina się o ciastko, gdy prosi o nie natarczywie, wtedy spróbować przełamać ciastko na dwie części i jedną z nich dać niance, braciśzkowi, lub komu innemu.

Zrobi to wrażenie; dziecko raz pierwszy lub drugi niecierpliwie się pocznie, żalić się będzie płaczem, iż mu zabrano część przysmaczku, jednak rozumieć pocznie i to, iż należy *dzielić się* z drugimi i w tym posiewie tkwić pocznie początek pracy nad wytępieniem samolubstwa.

Tak samo, jak z przysmaczkami, należy postępować i z zabawkami, i z ubraniem, i — z pieszczotami...

Uczyć dziecko, ażeby rączką swą małą dawało drugim to, co jemu bardzo miłe i co mu się najlepiej podoba, ażeby ono poznawało, iż i drugim to samo jest miłe, i drudzy się tem cieszą.

Zużytą, dawniejszą zabawkę, niech dziecko własną rączką da ubogiej dziewczynce, znoszone ubranko, niech ono poda najuboższej sierotce, niech też i pogłodzi splakane biedactwo swą rączką bielusią, a pozna, jak to miło czynić dobrze drugim i drugim kochać serdecznie.

W początkach wychowania popełniane są zawsze te same błędy. Błędy, które w najfatalniejszy sposób szerzą samolubstwo, a których wpływu nie rozumieją często nawet intelligentne osoby.

Ileż razy byliśmy świadkami tego, jak bab-

cia, ciocia, przyjaciółka, nachylając się do dziecka na rękę nianki, powtarza raz po raz, z uporem: — „To moja lalka! to moja niania! to moja mama, nie twoja!...” Dziecko protestuje, jak może, zaprzecza, ciśnie lalkę z całej siły, przygarnia nianię do siebie i powtarza znowu: — „to moja! to moja!” — aż wreszcie w złości łzami się zalewa i widzi, jak to o swoją własność walczyć potrzeba mozolnie.

Czy nie uczy to egoizmu i nie daje właśnie najgubniejszego posiewu, bo uświadamia młodą duszę pół-anioła, iż ludzie na ziemi dzielą wszystko na moje i twoje?... Po co ta szpetna zabawa? Ażeby ucieszyć się widokiem gniewu dziecka?... Czy to ma udowodnić, o ile dziecko jest rozwinięte, o ile ono o swoją własność będzie się upominało?

Czy nie powtarza się podobna fatalna omyłka przy jedzeniu dziecka?...

Małeństwo zajęte zabawką nie chce jeść, albo nie bardzo mu smakuje podana potrawa, więc, ażeby pobudzić apetyt i zachęcić do jedzenia, poczyną się znowu wołać: — „Ja zjem zaraz, doskonale, wyborne, czekaj, ja wszystko zjem.” Albo: — „Chodź tu, nianiu, zjedz wszystko prędko, daj to kucharce, doskonały kotlecik... zjedźcie go zaraz...” I dziecko do zazdrości w ten sposób pobudzane, poczyną jeść, dlatego tylko, ażeby kto inny nie zjadł...

Wspaniały nastrój młodej duszy do czynów litości, miłosierdzia i ukochania wszystkich!...

I w ten sposób poczynając wychowywać dziecko, marzą rodzice o szczęściu jego i myśla, iż tem wspanialszą gwiazdą ono zająśnieje, im więcej to dziecko sobie z życia zagarnie, im więcej ono siebie kochać potrafi...

„Okieł słońca ludzkości całe ogromy

„Przeniknij z końca do końca!”

— woła Mickiewicz w „Odzie do młodości,” a Brodziński powiada:

„Kto świat cały umiłował,
„Ten i cały świat posiada.“

Bez tej miłości ogromnej, złoto-skrzydłnej, bez tej miłości potężnej, niezwalczanej i nieugiętej, bez tej miłości promiennej, ogarniającej ludzką całą, a siebie najmniej ważącej, bez tej miłości szczęścia prawdziwego nikt nie zdobędzie i bez niej szczęścia nikomu nie da.

Czemże zaś jest życie samolubów, jeśli nie mrocznym cieniem bez miłości ludzkości? Czemż samoluby leż nędzarzom nie ocierają, nie podają zgłodniałym chleba, nie widzą sierot bezdomnych, nie słyszą wołania ludzi bez pracy, nie podnoszą upadłych i złamanych?... Bo ci tylko widzą mrok niedoli i nędzy, którzy mają wielkie, olbrzymie serca w piersi, którzy objęli świat w ramiona, jak powiada Mickiewicz, i przysgarbni go do łona!...

Takich trzeba uczyć, kochać i wieść w życie inaczej...

Od najpierwszych wrażeń budzących uczucie i myśl — wszczepiać ustalanie wszystkich i chęć czynienia im dobrze. Nie droczyć się z dzieckiem, że mu zjemy łakotkę lub owoc, ale uczyć go, by zawsze częstkę z swojej porcy odkładał dla kogoś innego... Da dziecko raz kotce, drugi raz niani, trzeci raz wróbelkom, to potem da i biednej sierocie, aż wreszcie nawyknę i szukać będzie komu podać drobinę z swego śniadania.

Nie droczyć się z dzieckiem, iż to moja niania, ciocia, lub mama, ale przypominać mu wcześniej, iż są tacy, którzy nie mają niani, cioci, lub mamy... tacy, którzy nie mają pieczyoty, nie mają wygody, którzy nie z tego wszystkiego nie mieli ani przez dzień jeden, co dziecina ma zawsze i w około siebie.

Boją się niektóre matki uświadamiania dzieci o smutkach życia, kryć chcą przed nimi pojęcie nędzy, sieroctwa i opuszczenia. Tak im się srogą rzeczą wydaje myśl o tem, iż

dziecko na chwilę współczuje i młodą myśl smutkiem napoi.

Mniej ono cierpieć będzie w poznawaniu smutków życia, niż w tem skalnym, zimnem oddaleniu się od uczuć miłosierdzia i litości, w którym mu serce nigdy goręcej nie uderzy i struny uczuć nigdy nie nastroją się do szlachetnych ofiar dla bliźnich...

Ludzi trzeba uczyć kochać ludzi, a to spełnia się tylko przez tępienie wrodzonych skłonności do egoizmu. Jeśli ludzkość ma wejść na drogę poprawy, jeśli ma ziścić posłannictwo to wielkie, do którego chrześcijaństwo wie, uczynić to będzie zdolna wtedy, gdy kochać pocnie wszystkich, gdy nie będzie stawiać granic dzielących świat na sfery, klasy i warstwy.

Aby tak stało się, muszą dzieci rosnać w posiewie miłości.

Trentowski powiada:

„Mądra natura zrobiła dziecię amorem i wszyscy ludzie *dobrzy* kochają *każde*, nawet *obce* dzieci. Śród tej powszechnej miłości *ku sobie*, wzrasta dziecię i uczy się wzajemności, t. j. *miłości całego rodu ludzkiego*.“

Zaś Marchal słusznie przypomina kobietom, iż: „Nie geniusz, nie chwała, ani miłość, lecz dobroć jest miarą wzniosłości duszy,“ więc jeśli z pod dłoni matek mają wejść w życia obowiązki takie dzieci, któreby zdołały szczęście zdobyć i szczęście dawać, niechże idą z nastrojem duszy wyniosłym i niech dobroć mają w każdym czynie.

Wychowując, — postępujemy nader ostrożnie z sercem dziecka. Wrodzonej skłonności samolubstwa dopomóż do wybudzenia może każdy fałszywie uczyniony krok. Zaszczepić miłość, wielką miłość zdolną do ofiar i poświęceń, może tylko wielka, wytrwała, wychowawcza praca matki.

Jadwiga z Z. Strokowa.



TEODOR JESKE-CHOŃSKI.

SAD BOŻY.

OBRAZEK Z XII-go STULECIA.



(Ciąg dalszy).

Pan Rajmund tymczasem chodził w sali jadalnej dokoła stołu krokiem niecierpliwym. Nizkiego wzrostu, gruby w karku, szeroki w ramionach, śniady na twarzy, mocny brunet z bujnym włosom był typem Prowansalczyka.

Po każdym okrażeniu sali stawał w oknie i wyglądał na jezioro.

Jego ruchom niecierpliwym przypatrywał się z uśmiechem drwiącym młody rycerz, siedzący w wygodnym krześle przed marmurowym kominem. Uśmieszek drwiący zdawał się być naturalnym grymasem jego twarzy bladej, zużytej, zeszpeconej piegami i rzadkim rudym zarostem. Złość i zawiść czaiły się w jego kocich oczach.

— Dziwno mi, że nie poleciałeś za ową szaloną pałką — odezwał się, pociągając wino ze srebrnego pucharu.

— Gdyby to było na lądzie, nie potrzebowalbyś mi przypominać praw i obowiązków małżonka — odrzekł pan Rajmund, — ale na wodzie jest rycerz bezsilny.

— I ten tam, zdaje się nosi biały pas i złote ostrogi, śpiewał bowiem za dobrze na zwykłego zonglera, który włóczy się ze swoją sztuką dla zarobku po jarmarkach i odpustach.

— Słyszałeś go?

— Doskonale... Słyszałem z okna i rozumiałem każde słowo. Śpiewał o niewiernej kochance, o płochem sercu niewieściem.

Gorąca krew południowca uderzyła do głowy pana Rajmunda.

Ploteczki i Prawdy.

(FELJETON TYGODNIOWY).



(Smutna „prawda.“ — Mord „zapracowanego milionera.“ — Jedna z Mohikanek. — Nie czas żałować róż... — Łąki na wulkanach i wesolki społeczne. — Obiecanka — cacanka. — Biednyś rodzic męzki! — Towarzystwo ochrony męczyzn w Warszawie).

Na samym wstępie „prawda,“ bezbrzeżnie smutna i bolesna prawda. Fakt, ścinający sam przez się w żyłach krew, przysgniatający mózg ciężarem przysgnębienia. Tym faktem jest śmierć milionera Kunitzera w Łodzi.

Słowo „milionera“ podkreślić trzeba z przyciskiem. Zwykle te miliony są dla obdarzonego niemi, ze względu na umiłowane przez nas ideały społeczne, okolicznością obciążającą. Tu przeciwnie; Kunitzer, jak to dziś wszyscy po tragicznym wypadku przyznają, na tle milionów swoich w oświeceniu wyma-

gań altruizmu nie tylko nie tracił, owszem zyskiwał i wyróżniał się dziwnie ujmująco.

Tajemnica tego?... bardzo prosta. Milionów dorobił się własną pracą i pomysłowością, a posiadłszy je raz, nie uważał ich za narzędzie egoizmu własnego, ale służył niemi sprawie publicznej całem swem gorącym sercem i rozumem, ożywionym jak najlepszymi chęciami dla kraju, w którym żył i który dał mu te miliony.

Zamordowany, padł ofiarą niepojętych wciąż dla ogółu motywów. Śmierć ta, choćby sprawcy jej mówili nie wiem co na swoje usprawiedliwienie, powiała jednak strasznym chłodem dla idei, którą chcą reprezentować...

Partya, której delegaci zgładzili Kunitzera, wypisuje na swych sztandarach wszędzie: zniesienie kary śmierci. A jednak tą śmiercią szafuje sama z taką lekkomyślnością, z tak niezrozumiałą łatwością zbrodni...

Przypomina się historia ludzi, ścinających olbrzymie dęby, dla sporządzenia z nich jednego marnego fletu. Jakże fałszywie brzmieć potem muszą tony takiego fletu...

Czy może być powalenie takiego dębu społecznego, jakim był ś. p. Kunitzer, usprawie-

dliwionem, wytlómaczonem czemkolwiek? Stoimy wobec bolesnej, niepojętej, niewysłownie przysgnębiającej zagadki.

Może przyjdzie czas, że historia kataklizmów, jakie obecnie przechodzimy, przyniesie nam konkretny powód, dla którego Kunitzer żyć przestał. Jakimkolwiek on będzie, nie zatrze niewypowiedzianego żalu, po stracie człowieka tej miary i tych zasług...

W Łodzi nauczono się Kunitzera nazywać „zapracowanym milionerem.“ Dziwnie ujmująco brzmią te dwa wyrazy. W naszym dzisiejszym tak zgangrenowanym społeczeństwie, odbijała jego postać tak jasno, promiennie, swym zapalem, swem pojmowaniem obowiązków, twardem, hartownem. Na tle społeczeństwa współczesnego, które się dzieli jedynie na 1) pracujących na procenty i 2) żyjących z tych procentów, nb. bez pracy, ten Kunitzer, jako „zapracowany milioner,“ był rzadkim wyjątkiem i osobliwością w swoim rodzaju. Niemiec z pochodzenia, czuł się zawsze i wszędzie Polakiem, i to nie słowem jedynie, ale czynami, życiem...

W rzędzie tytułów, które piastował za życia, uderza wybitnie jeden: „Prezes chrześci-

— Żeby go ryby mojego jeziora pożarły, żeby go raki pocięły na trociny! — wybuchnął. Rudy zachichotał suchym śmiechem szydercy.

— Jesteś zabawny z zazdrością pazio, który się rozmiłował w wędnących wdziękach starej księżnej — rzekł. — Zerwałeś w dzikiej Normandii najbielszą lilię śnieżnej ziemi północnej i łudziś się, że zachowasz ją tylko dla siebie. Sto rąk poządlwych wyciągnie się po twoją białą lilię, sto par oczu splami ją spojrzzeniami lubieżnemi, sto serc owionie ją żarami miłości.

— Sto rąk poządlwych obezwładni mój miecz, sto serc ostudzi na zawsze mój sztylet toledański.

— O, o, o!... — drwił rudy. — Taki to z ciebie rycerz? Są mocniejsi, zręczniejsi od ciebie.

Pan Rajmund rzucił się, jakby go wąż ukąsił.

— Milcz-że, gębo utrapiona! — fuknął. — Przyjacielem mi jesteś, a bawi cię mój ból.

— Już milczę. Tylko racz pamiętać, że śluby małżeńskie nie były nigdy dostatecznym puklerzem w walce z miłością. Tak przecież orzekły w sądzie miłosnym nasze kwoki narbońskie z enotliwą, bo starą, wicehrabiną Ermengardą na czele. Miej oczy i uszy otwarte!

Pan Rajmund okrażał znów stół, a jego rudy przyjaciel przeciągał się leniwie na krześle.

Po dłuższej przerwie zaczął znów:

— Ale zakochany!... Trzeba być rażonym w samo serce strzałą śmiertelną, by włóczyć się po nocach na zdradliwym jeziorze i wyspiewywać głupie pieśni. Zwaryowany trubadur...

— Żeby go tylko rybacy złowili!

— He, he, he, bez miecza nie wsiadł do łodzi. Ryby będą dziś miały sutą wieczerzę, gdyby go twoi ludzie odnaleźli i dosięgli.

— Że też ty, Bertrandzie, musisz mi powiedzieć zawsze coś nieprzyjemnego. Pomógłbyś mi raczej do odkrycia owego zuchwalca.

— Stuknij się w głowę i przypomnij sobie, czy o względy pani Azalais nie zabiegał oprócz ciebie jeszcze ktoś inny, a może trafimy na ślad właściwy, bo on gaszek przypominał w pieśni jakieś dawniejsze zobowiązania.

— Mówiono mi, że pan Roger de Montfort był kiedyś narzeczonym Azalaidy.

— Wiadomo, że wicehrabia de Montfort wziął krzyż i poszedł do Ziemi Świętej, gdzie poległ w wiernej służbie naszego Pana Jezusa Chrystusa. Nie on więc zabawiał się dziś pod twoim nosem w zdradzonego, porzuconego kochanka. Pomyśl jeszcze. Może kto inny...

Pan Rajmund wzruszył ramionami.

— Żadne inne nazwisko nie doszło do mojej wiadomości — rzekł.

— W takim razie jest to ktoś z naszych szaleńców prowansalskich, którym pani Wenus pomieszała wszystkie klepki w głowie. Nie obawiaj się, znajdziemy go. Sam się zdradzi rychlej, czy później. Twoje szczęście, że wicehrabia nie może już wrócić między żyjących i upomnieć się o swoją własność.

— Mówisz, jak gdybyś nie ufał mojej odwadze. Jeszcze mi żaden miecz nie był straszny.

— Ale strasznym byłby ci miecz pana de Montfort, najsprawniejszego rycerza Normandii. Nie takich, jak ty, kładł ten lew północy na ziemię udeptaną. Nawet z jego widmem nie chciałbym się spotkać w szrankach.

— Ba, bo ty...

— Bo ty, chciałeś powiedzieć, masz serce zajęte — mówił rycerz Bertrand, nie obrażony wcale przymówką pana Rajmunda. — Każdy radzi sobie, jak umie. Wy, zabijaki z ramionami stalowemi, ufacie tylko sile i mieczowi, ja zaś, którego nie chowano na rycerskiego rzeźnika, pomagam sobie na tym świecie ro-

zumem, przebiegłością, na czem bardzo często lepiej wychodzę od was, odważne gawrony.

Pan Rajmund już nie słuchał. Uwagę jego zajął gwar zmieszanych głosów. Rybacy wracali z jeziora.

— Odnaleźliście tego włóczęgę? — zawołał, kiedy się stary rybak ukazał na progu sali.

— Było ich dwóch, miłościwy panie.

— Dwóch? Gdzie są? Żywi, czy umarli?

— Nikt nie wie, miłościwy panie, gdzie się podziewają duchy nieczyste. Zachichotali podług onej kępy, gdzie to corocznie na wiosnę dyabeł wciąga któregoś z naszych śmielszych chłopców pod wodę i przepadli, jak dym, porwany wichrem jesiennym.

Pan Rajmund spojrzał na rycerza Bertranda wzrokiem bezradnym, niepewnym, jak gdyby go pytał, czy powieść rybaka może być prawdziwą.

— Powiadasz, że zachichotali i przepadli, — odezwał się rudy rycerz z niewiernym uśmiechem na wąskich, bezkrwistych ustach. — Jakże to było, stary?

— Wskoczyliśmy duchem do łodzi i popłynęliśmy w kierunku onego spiewania — opowiadał stary rybak. — Przodem leciał czarny Janek, co to ma oczy kocie i widzi w nocy lepiej, niż po dniu. „Łódź wedle kępy dyabelskiej!“ — zawołał, i prze, jakby miał w garści dziesięć wiosł. My za nim. Jaki taki wypatrzył ślepska, pochyła się nad wodą, tnie fale. Pędzimy, jak na wyścigach czerwcowych. „Jest ich dwóch w łodzi!“ — krzyknie znów czarny Janek, — „rozzucić się, otoczyć kępę.“ Wtem zachichotał w ciszy nocnej śmiech tak okropny, że nam wiosła w łapach zadygotały. W imię Ojca i Syna... jak żyję nie słyszałem takiego paskudnego śmiechu. Stanęliśmy wszyscy w miejscu, a kiedy czarny Janek zawołał: „Już ich niema, gdzieś przepadli!“ — zawróciliśmy czempredzej. Nie wier-nemu chrześcijaninowi wojować z duchem nieczystym, miłościwy panie. Dobra jest wol-

jańskiego Towarzystwa dobroczynności w Łodzi; zazwyczaj godność taką nadajemy osobom utytułowanym, arystokratom rodowym... W tym wypadku otrzymał ją arystokrata pracy, energii, samorządności. To charakterystyczne i takie bardzo wymowne świadectwo dla nieboszczyka...

A teraz, gdy tak wśród wspomnień pośmiertnych już błądzimy, jeszcze jedno pokrewne mu; dotyczy niedawnego zgonu ś. p. Glogerowej, matki znanego i zasłużonego badacza na polu naszego ludoznawstwa. Był to jeden z tych wymierających już dziś typów matek-Polek, które wychowawszy zacnych synów narodu, umiały im być potem przez całe życie drogowskazem, przystanią, busołą.

W Jeżewie przez całe lat dziesiątki była ś. p. Glogerowa taką zacną, przepojoną świętością tradycji matroną, do której pielgrzymowało się milami po błogosławieństwo, po uścisk zgrzybiałej dłoni, po kilka słów owianych naszą świętą, w zapal romantyzmu zdobną, przeszłością. Była ś. p. Glogerowa taką właśnie patronką jednego już dziś coraz częściej wygasających ognisk, z których szło

ciepło na całą literaturę. Dla takich to ognisk pisał Pol i Lenartowicz, tworzył Dzierkowski, Kraszewski, Korzeniowski i Rzewuski. Jacy słuchacze, taka też i twórczość. Te dwory właśnie święte i poważane wycisnęły swoje piętno na naszej przedostatniej literaturze; ztąd taka jej jakaś dziwna smętność i powaga. Sienkiewicz ze swą uwielbianą trylogią, to wielka tej literatury korona i jakby nie-sporne zakończenie z podniesieniem wśród woni kadzidel i brzmienia rozspiewanych organów powszechnego uniesienia.

Po nich przyszła twórczość nerwowa, nieogładająca się na słuchaczy-Mohikanów z dworów-anachronizmów. Żeromski, pisząc „Bezdomnych“, Reymont „Ziemie obiecane“, Jaroszyński „Chimerę“, już się nie obziera na dworki. Piszą dla nerwowo dygocących fal miejskich, porwani temi falami, uniesieni, coraz nierówniejsi, mniej w kapłaństwo strojni, ale więcej szczerzy w swej twórczości nerwowej, szarpiającej, jak samo życie, jak my dzisiaj wszyscy...

Glogerowa, zapatrzona w ideał „Bożej cze-ladki“ i „Krewnych“ dla współczesnej twórczości była stracona; może jeszcze rozgrze-

szała się dla Orzeszkowej („Bene nati“), mo że jeszcze trochę rozumiała poszum świętego „Dewajtisa“, najpewniej z zapalem towarzyszyła Skrzetuskiemu, przedzierającemu się przez okopy tatarskie, niemniej w otoczeniu „Przenajświętszej rodziny“ wśród tajemniczej „Świętej wody“ i piosnek Janusza było jej najbardziej swojsko.

Gdzie królowała niepodzielnie Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, tam już za ciasno było nawet Żmichowskiej. A cóż dopiero ostatniej, egzotycznie namiętnej i wschodnio-zmysłowej, Lilianie?

Do naszej, wciąż jeszcze na wulkanie nie-spokojnym żyjącej, Warszawy, odgłosy takich wypadków, jak śmierć Glogerowej, tylko słabem dochodzą echem. Zbyt jesteśmy pochłonięci chwilą, ażeby oddawać się marzeniom historyzoficznymi, choćby najciekawszym, choćby ciepłem tradycji narodowych jak najbardziej owianym...

W refleksach błysków grożącej na każdym kroku cholery, dziwnie zbladła nam twarz. Uśmiech zamiera na ustach, każdy weselszy podmuch bywa zmrożony i zduszony. A je-

ność na ziemi, ale lepsze zbawienie duszy na drugim świecie.

Kiedy się rybak oddalił, zapytał pan Rajmund:

— Cóż ty na to, Bertrandzie?

— Owi śpiewający włóczęgowie przybili do kępy i ukryli się w szuwarach, a tym osłom zdawało się, że dyabeł czatuje na ich nędzne dusze. Każ jutro z rana przetrząść ową kępę.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z T A T R.



I.

Preludium.

Cichy wieczór niesie woń
Z łąk tajemną —
Płynie spokój w biedną skroń
Na noc ciemną,
Płynie spokój w biedną skroń —
A nademną
Cichy wieczór niesie woń
Z łąk tajemną.

Błysnął ranek — świtem zórz
Złocąc lany —
Rwie się ludzki duch do burz,
W bój nieznany,
Rwie się ludzki duch do burz,
W krag rumiany
Błysnął ranek — świtem zórz
Złocąc lany.

II.

Pod Mnichem.

Samotny siedzę wśród górskich olbrzymów
I wielką żalność chciałbym słyszeć Mnicha...

Ileż mu nieszczęście niosła miłość cicha? —
„Stareze, choć imię kochanki swej wymów!”

Ha! — milczą góry, jego szczęścia świadki,
I Mnich z swej twarzy kaptura nie schyli...
Cicho! — Wszak szepce: „Ci, którzy przeżyli
Miłość, niech na jej przypomną ostatki!”

III.

W górach.

Pomiędzy skały, przepastne urwiska
Wkroczyłem znowu. W okół dal daleka.
Wyteżam oko: „Czyli mnie nie czeka
Ta, co tak obca dziś, a ongi bliska?”

Czy mnie nie myli wzrok? W dole majaczy
Idąca ku mnie jakaś postać biała
Z wyciągniętymi rękoma, — jak skała,
Prosta, bez ruchu... Mgła jej drogęaczy.

To ona, ku mnie, duch mój złowróżebny,
Zwraca się, żeby w przepaści potracić
I sztydzić ze mnie — szaleństwem pijana...

A za idącą — w dali dzwon pogrzebny
Bije, jak gdyby chciał mi spokój zmacić,
Żeby otwarła się znów serca rana.

Stanisław Zdziański.



NASZ KWESTYONARYUSZ MĘZKI.



III.

Czyniąc zadość wezwaniu redakcyi „Bluszczu w numerze 44-ym z r. z. w sprawie wypowiedzenia zdania: jaką być winna pod względem moralnym i umysłowym współczes-

na kobieta, aby godnie odpowiedzieć wymagom życia rodzinnego, społecznego i towarzyskiego, poczytuję sobie za miły obowiązek do wszelkich innych wypowiedzianych w tej materii zdań, dołączyć i swój skromny głos, uważając poruszoną sprawę za jedną z bardzo poważnych i palących bieżącego wieku.

Zdaniem mojem, kwestya racjonalnej emancypacyi współczesnej kobiety, dającej jej możność obsolutnego zadosyćuczynienia pod względem towarzysko-społecznym, a nade wszystko rodzinnym, ostatecznie wyswietlona i rozstrzygnięta została.

W myśl zatem orzeczenia większości uświadomionych mężczyzn i kobiet i ze względów etyczno-społecznych, tylko taka emancypacja może być pożądaną i propagowaną w ogóle, która pod każdym względem i wszechstronnie zdolna jest tegoczesną kobietę absolutnie równouprawnić z mężczyzną.

I dlaczegóżby wreszcie rozsądny i poważny mężczyzna nie miał życzyć sobie równouprawnienia kobiety, skoro ona od najpierwszego zarania życia jego i wciąż aż do grobu, jest mu kolejno: najczulszą matką, ukochaną siostrą, najmilszą żoną i najlepszą córką?

Alboż konieczna i przymusowa niekiedy dążność współczesnej kobiety do równoprawnej walki i współzawodnictwa na polu pracy, nauki, zarobku i w ogóle wszelkich innych usiłowań życiowych w celu zachowania bytu, własnego „ja” i swych najbliższych, — powinna wzbudzać w nas uczucie nienawiści, zazdrości, strachu i niesprawiedliwego potępienia jej?

Sądzę, iż uczucie nienawiści, zazdrości i potępienia, ubliżałoby godności człowieka, — zaś uczucie strachu — dowodziłoby bezsilności i tchórzostwa mężczyzn. I wreszcie byłyby to uczucia, i ze wszech innych miar nie godne zupełnie uspołecznionych ludzi, — albowiem wszelka równoprawna walka jest nie

dnak wśród tej ogólnej „afazy” tętą społecznego, widać już pomykające płomyki nadziei, słysząc świegot budzącego się ptactwa ożywienia, widać miraż jasniejących poranków.

Nie jest się bezkarnie Warszawiakiem... Życie ma też swoje prawa. I na wulkanach nie wyplenisz runi łąk, dywanów kwiatnych. Śmielsi wesółkowie powoli twarz podnoszą, skurczem rozbawienia okraszona, i zwiastują niedalekie dni rozbawienia...

Jeden z nich tak mi prawił, spotkawszy przelotem w tych dniach na ulicy:

— Do góry głowy!... Jeszcze trochę a będzie lepiej... Bezrobocie szkolne już na ostatnich nogach, gwar „Dumy” rozprawy ogólne, milczenie przygnębienia, będzie można, swobodniej odetchnąć i... pomyśleć o jakim takim karnawale. 12-o tysięcznej rzeszy szwaczek, ogrodników i t. p. należy się przecież jakieś odszkodowanie za zeszłoroczną mitręgę i straty...

Jestem pewny, że jeszcze dwa, trzy miesiące, a puścimy się w ochocze pływy wśród a giorno oświetlonych sali balowych... Życie ma też swoje prawa do weselości i na długo nie pozwoli wyłamywać się z pod nich...

Tak mówił ów płyciutki „społecznik” a miał przytem pozę tak nieomylnego augura, że omal nie rozśmiał mu się w twarz. A jednak ów X. miał zadowolenie człowieka, który twierdzi, że przy nim racya i nieomyślność. Szczęśliwy!...

Bez porównania mniej szczęśliwymi są dotychczasowi widzowie teatru „Rozmaitości.” Mimo nowe posiłkowe „foyer,” po dawnemu duszą się w ciasnej i odrapanej sali. Na pociechę łatwowiernym obiecano już z wiosną nową salę. Podjął się przebudówki p. Stępiński za śmiesznie małą cenę 150,000 rubli. Pięknie, ale zkad je weźmie Dyrekcyja teatrów rządowych, obdłużona, jak nieboszczyk Zabłocki, słynny handlarz mydeł? Towarzystwo assekuracyjne „L'Urbaine” chce dostarczyć pożyczki w wysokości 200,000 rubli. Ależ to psu mucha, wobec tylu rozlicznych dziur, czekających na załatwienie. Bodaj to być optymistą! Ale obiecać ludkowi nie zawodzi.

Tylko obiecanka obiecance nie równa. Ta np., którą światu uczynił p. Bodine, dygnitarz ministerstwa oświaty w Stanach Zjednoczonych, brzmi wprost przerażająco. Obiecał on,

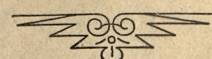
ni mniej ni więcej, jeno to, iż małuczko, a w Ameryce... ród męzki wyginie z kretelem; tak udawadnia rachunkiem prawdopodobieństwa, według danych statystycznych urzędowych. Miła perspektywa, i to tem prawdziwsza, że pragną jej bardzo gorąco kobiety amerykańskie. Już dziś w Stanach Zjednoczonych, 4,000,000 kobiet zajmuje posady płatne. Powoli miliony te wyrosną tak dalece, że zaleją ród męzki w zupełności; ostatnich jego reprezentantów pokazywać się będzie w gablotkach muzealnych za opłatą 10-ciu szylingów u wejścia.

Szczęściem, że mężczyznom w Warszawie jeszcze nie grozi ta smutna ewentualność. Bo inaczej, trzebaby na seryo pomyśleć o Tow. racjonalnej ochrony mężczyzn.

Gdyby jednak losy jego miały być podobne losom istniejącego dziś Tow. Ochrony kobiet?...

Aż strach pomyśleć o tem...

Parol.



tylko etycznie dozwoloną, lecz może być zarówno mężczyzny, jak i kobiety udziałem.

Tak więc, współczesna kobieta powinna i ma prawo być przygotowaną do równej i szlachetnej konkurencji z mężczyzną, do samodzielnego utrwalenia swej egzystencji życiowej, do współzawodnictwa na polu wiedzy i postępu i w ogóle wywalczenia sobie i swoim następczyniom absolutnego równouprawnienia.

Aby zaś do równoprawnej walki tej i współzawodnictwa być należycie i odpowiednio usposobioną, kobieta współczesna winna być nie tylko ogólnie umysłowo wykształconą i moralnie doskonałą, lecz nadto, winna posiadać i wszelkie inne niezbędne w takich razach do konkurencji warunki, a więc: powinna ona przede wszystkim posiadać specjalne i fachowe na równi z mężczyzną wykształcenie, odebrane w społeczno-państwowych zakładach naukowych; powinna mieć prawo równego głosu we wszystkich kwestiach ogólnospołecznych, i—co najważniejsza—być absolutnie równoprawną jednostką pod względem państwowym.

Niezależnie od tego, aby godnie odpowiedzieć i codziennym warunkom życiowym, zwłaszcza na wypadek zamążpójścia, kobieta współczesna winna mieć jak najrozleglejsze pojęcie o praktyczności gospodarstwa domowego, o buchalterii i w ogóle o własnym domowym i swego męża budżecie.

Tylko taka kobieta, któraby w zupełności odpowiedzieć mogła powyższym kondycjom, może zdaniem mojem być godną i pożądaną współmałżonką mężczyzny, zdolną współpracowniczką i zarazem najsympatyczniejszą towarzyszką jego doli życiowej.

Cóż-bo zachęcić i zniewolić może współczesnego mężczyznę do zawarcia wiecznych ślubów małżeńskich, do nadania wybranej swego nazwiska i praw rodowych, jeśli nie przekonanie, iż życie swoje łączy on z istotą absolutnie mu pod względem moralnym i umysłowym równą?

Kobieta, która umysłowo i moralnie stoi znacznie niżej od mężczyzny, nie tylko, że nie może dodatniego wywierać nań wpływu, lecz nadto staje się dlań banalną i płytką, wzbudza ustawiczne obawy o siebie i swoje postęпки, sprowadza nudę, pustkę, zniechęcenie do pracy, pożycia i przebywania w domu. Nie mając z kim, a nie mogąc z żoną podzielić się myślą, zdaniem, poglądem, mąż taki zlorzeczy swemu losowi, unika starannie poruszania jakichkolwiek kwestii rodzinnych lub ogólnospołecznych, wiedząc z góry, iż wywoła tem nieporozumienie i burzę domową i zamiast, jak przystało na przykładnego małżonka, pragnąć jej towarzystwa, ucieka od niej, jak od istoty zadżumionej i szuka zadowolenia po za domem, w gronie wesołych przyjaciół, w grze w karty, w hulance, niekiedy w bezmyślnej orgii istot upadłych.

Z tego, cośmy dotąd powiedzieli, widzimy jasno, iż współczesna kobieta, nawet w interesie samych mężczyzn, nie może i nie powinna wyrzekać się równego mężczyznom, specjalnego i fachowego wykształcenia, i w ogóle praw człowieka i w większości wypadków nie reprezentować jak dotąd, bezdusznej lalki, zamiłowanej w strojach i zbytku, prze-

czulonej i banalnej istoty, obfitej jedynie w pomysły i fortele, mające na celu zachwytanie męża.

Streściwszy powyższe, śmiem tuszyć, iż potwierdzenie swego zdania, znajduję w bezstronnem przyzwoleniu i logicznem pojęciu większości mężczyzn, w ich naturalnem i gorącym przywiązaniu do najmilszej i nierozłącznej z nami drugiej połowy rodzaju ludzkiego, oraz, że uznając w każdej kobiecie, bez względu na jej stanowisko socyalne, równego sobie pod każdym względem człowieka,—życzymy, aby tejsze kobiecie przyznane i nadane powszechnie zostało absolutne równouprawnienie z mężczyzną.

Józef Jankowski (Ali).

IV.

Drogi wskazywane przez ruch kobiecy, samodzielnosci, silne parcie ku niej ze strony niewieściej, równouprawnienie pod każdym względem—całe szeregi różnorodnych hasel postępowości, za którymi dążą z jasnym celem, lub nieświadomym zupełnie, czy też powierzchownie, a dalej wszystko to, co dała przeszłość życiu kobiety, czem się znaczy w dobie dzisiejszej obok śmiałych myśli o drogach nowych i czynów, wiodących na tory świeże—oto labirynt. W tym labiryncie takie kwestye, jak małżeństwo, wychowanie, wzajemny stosunek mężczyzny i kobiety są na porządku dziennym. Z tego wszystkiego dużo jest w teorii, mało w praktyce; więcej zapału do nowatorstwa, niż szczerych chęci, jeden krok naprzód, dwa w tył, więcej zainteresowania, a zarazem oddania się sprawie u jednostek, niż u ogółu kobiet, więcej komedii, niż prawdy, chęci popisu, niż istotnego zrozumienia rzeczy i służenia pięknej idei wyzwolin. Bo czyż nie jest naprawdę żądanie swobody, uznania równości i dążenie ku temu czemś pięknem i czemś koniecznem?

Nie trzeba jednak w tem być krańcowym i bezwzględny, nie trzeba żądać za wiele, nie trzeba rugować wszystkiego, co dała przeszłość, lecz postępować wolno i systematycznie w usuwaniu tego, co jest złem i budowaniu lepszego. Krańcowość każda, jak nie jeden paradoks, bywa rzeczą śmieszną. W emancypacji widzi się dużo parodii, ztąd wielu od niej ucieka. Jeżeli się ujrzy typ kobiety, traktującej sprawę równouprawnienia bardzo płytko, jeżeli się przekona o wprost złem pojęciu tejsze sprawy, pragnącem usunięcia praw Kościoła, instytucji małżeńskiej i t. p., a wolnomyślność przekonań, absolutne wyodrębnienie z pod praw w ogóle społecznych dojdzie do zenitu w ruinie wszystkiego, na czem polega dziś, polegało wczoraj, tak myśląca kobieta i działająca, nie może być pożądanem zjawiskiem, jako wprost szkodliwem. Co ona daje?—swoje ja, swoją indywidualność;—co wnosi?—własne postulaty, własne formułki wyznawane przez nią tylko, czy kilka jej podobnych. Gdyby nawet,—będzie to rozbicie jednolitego gmachu na celki, rozbiciem stanowczo złem, bo wiodącym do anarchii. Te postulaty zaś, te formułki zapatrywań i przekonań wobec niskiego poziomu ogółu kobiet, bywają nieraz parodią, brakiem sensu, chorobliwym majaczeniem, wzbudzającym odrazę

i litość. Ztąd, jeżeli emancypacja wytwarza podobne indywidua, nie może liczyć na uznanie nie jednego, lecz przeciwnie całe zastępy przeciw sobie zwraca.

Chodzi o równouprawnienie—dobrze, ale w tem, co społeczeństwo posiada, czem darzy pleć brzydszą na drodze pracy; chodzi o równouprawnienie, niechaj przedtem ogół kobiet postara się o kulturę, którą mogą się poszczycić u nas zaledwo jednostki; niechaj inaczej wychowywanem będzie przez rodziców, a potem przez własne społeczeństwo. To przede wszystkim. Wychowanie przeciętnej kobiety współczesnej oparte na płytkim kształceniu domowym, wreszcie kilkoklassowej nauce z konwersacją, śpiewem, muzyką i innemi bezcelowemi dodatkami, to żart, zredukowany do zera. Parą romansideł lub choćby i cenniejszych powieści przeczytanych, to zakrawa na śmieszność, korzyści nie przynosi, gdyż bez podstaw, nie cenniejszego pojmovać nie można. A to się wciąż praktykuje z małemi wyjątkami. To też czterościanowe poglądy na życie i wszystko z niem związane: banalizm, plotkarstwo, manekinowość, której celem dobrze ugotowany obiad i spaczne wychowanie dziecka, niezaradność, zacofanie, płytkość sądów i poglądów, brak woli, brak wyrobienia, bądź to w kwestyi stosunków rodzinnych, prywatnych, czy publicznej wagi, jest rozpanoszone w sposób fatalny. Zaśniedziałość umysłowa, wsparta na utartych już szlakach, czy to przez inne osobistości, czy książki, pruderya między szeregiem ujemnych stron charakteru kobiecego, nie są rzadkością. Dlatego też w przeciętnej kobiecie trudno jest znaleźć coś więcej dzisiaj nad pionka, który trzeba prowadzić, urabiać, nad istotę potrzebującą opieki, czuwania, co jest smutnem, bo w kobiecie na jakimkolwiek stanowisku, czy to żony, czy jednostki społecznej w ogóle, powinno się mieć towarzysza i przyjaciela, rozumnego kierownika w kształceniu pokoleń.

Wychowanie kobiety nie powinno prowadzić do czterościanowych, jak się wyraziłem, pojęć, do ciasnoty i fałszywych zapatrywań, lecz podnosząc serce i rozum, dążąc do poznania prawdy, do obejmowania szerokich horyzontów wiedzy, do kształcenia charakteru, samodzielnosci, a przez to przygotowywać do współpracy z mężczyzną, do głębokiego pojęcia obowiązków, jakie nakłada na kobietę stanowisko społeczne. Lecz w tem wszystkim niechaj kobieta nie zrywa z niewzruszonymi zasadami przeszłości i potrafi z nich wyciągnąć co jest zdrowem, zgnilizną dawną czy współczesną niezatrutem, niechaj nie zrywa z Kościołem, z prawami społecznymi, a przede wszystkim niechaj się zawsze czuje pracowniczką dla dobra swego kraju, kierując się tem, co jest szlachetne.

J. Maciejowski.



Aniela Tripplinówna.

Z pobytu na dalekim szlaku.



(Ciąg dalszy).

Pierwszy Listopada inauguruje obiady i kolacje weselne. Nasze trzy salony upajały wonią najrozmaitszego, najcudniejszego kwiecia; adamaszkowe obrusy zaledwie gdzie niegdzie różowieją z po za festonów pomarańczowych, girland tuberozy i białej róży, lilii i konwalii. Czternastu saistów (lokajów) w satynowych i jedwabnych chałatach, opasanych różnokolorowymi pasami, wyczekuje od godziny 12-ej pociągu z Baalbeku. Patryarchalność obyczajów wschodnich zbliża w takim uroczystym dniu najniższych do najwyższych. Biedni hotelowi posługacze rozstawieni na schodach, pierwsi zwykle witają nowożeńców żartobliwie serdecznem: *Aris! Arous!* (O młody małżonku! o młoda małżonko!), błogosławieństwem „*Allah je nam alaik!*“ (Niech wam Bóg daje wszelkie rozkosze) i figlarnem „*Uzled ktir!*“ (dzieci dużo).

Drugiego Listopada oczekiwano nie byle kogo, jeno najbogatszych i najznakomitszych rodem patrycyuszów Anty-Libanu, którzy do niedawna piastowali najwyższe urzędy w Baalbeku i teraz jeszcze dzierżą ogromne obszary w górach i dolinach. Któż w Syrii nie zna Mutranów i Farahów? To niby Rohanowie we Francyi, Lubomirscy w Polsce.

Szwajcar nie zwykłem dzwonieniem, lecz trąbką daje sygnał przyjazdu. My lokatorzy z przepysznego, kwiecistego naszego balkonu wyczekujemy interesujących gości. Do stołu weselnego nie mamy prawa zasiąść, lecz zarezerwowano dla nas stoliki i kanapki boczne, z których prawie niewidzialni, wszystko będziemy widzieli. To się nie sprzeciwia miejscowej etykiecie, przeciwnie, dogadza do pewnego stopnia próżności Arabów, którzy lubią imponować cudzoziemcom.

Pociąg się opóźnia, o pierwszej dopiero podjeżdżają karety, kształtne, modne, wybite białym atlasem, a świeżutkie, jak gdyby je tylko co okręt dostawił z Marsylii. Co za konie! prawdziwe rodowite Arabcy!

W Beyrucie dwa razy do roku odbywają się wyścigi i wystawa koni. Niema dwóch tygodni, jak wyjechali wojskowi francuzcy i austriacy, których oba kraje wysłały po najpiękniejsze okazy dla stajni rzeczypospolitej i cesarskiej. Część z owych wspaniałych rumaków zostawiono w mieście na usługi bogatych nowożeńców. Karety podjeżdżają, a my nie wiemy sami, czemu się przypatrywać, czy wystrojonym damom, czy białym, wysmukłym, prześlicznym koniom, któremi je przywieziono. Nie spieszą na górę nowo-przybyli a różnobarwne tłumy zalegają plac Armat i ulice, niechże i one podziwiają splendory szat i biżuteryi i przypomną dostojność rodu Mutranów i Farahów. Na ulicy rozlega się też tradycyjne: *Aris! Arous!* i *uzled ktir!* Szwajcar trąbi, saistów na schodach wtórują: „*Aris! Arous!*“

Naprzód poważnemi krokami, trzymając się za ręce, wchodzą matrony, za niemi obie

panny młode, za pannami młodemi parami idą družki różnego wieku i wzrostu, aż do 6-letnich cherubinków. Mężczyźni zjawiają się dopiero po płci pięknej—naprzód starzy, później młodzi. Panowie we frakach, białych kamizelkach, białych krawatach, z których pobłyskują brylanty niepospolitej wielkości. Gdyby nie fezy na głowach, bez których mężczyzna kroku zrobić nie ma prawa, można by mieć illuzję, że się to wszystko odbywa w Paryżu, w Hôtel Continental. Język francuzki ciągle rozbrzmiewa, bo przedstawiciele dwóch pokoleń od trzeciego roku życia wychowywali się w zakonach i klasztorach francuzkich. Na sto kilkadziesiąt osób przed nami krążących, jeden tylko mężczyzna, najstarszy brat pana młodego, Farah, uderza mnie odrębnością odzienia. Przywdział kostium narodowy, tak przypominający kontusz, pasy i czapki szlachty naszej, że oczy przecieram, nie dowierając własnemu wzrokowi.

Pochód dam w salonie trwa bajecznie długo z powodu istic dworskiej długości trenów, tak kosztownych i tak ciężkich, że unosić je ręką, byłoby poświęceniem ich piękności. Zapewniłam warszawskie elegantki, że nawet, które się wyłącznie ubierają u Hersego lub w Paryżu, że piękniej, bogaciej, gustowniej siebie, ani córek ubraćby nie mogły. Arabka, dostojnego rodu, raczej sprzeda rodzone dziecko, aniżeli starożytne koronkowe skarby, odziedziczone po przodkach. Materyały sprowadza z Lyonu lub z Damaszku, a przecie wschodnie jedwabne materye na wagę złota sprzedają w Paryżu.

Co do biżuteryi, zdumiewającej znawców dobozem kamieni, toby ją chyba arabskiej niewieście razem z życiem wydarto.

Na Wschodzie (jak u nas ongi Żydówki) najbiedniejsza z kobiet musi posiadać klejnot, jako talizman i ostatnią kotwicę ratunku na czarną życia godzinę, a cóż dopiero przedstawicielki rodu Mutranów i Farahów! Nie tylko Angielki i Francuzki mieszkające w naszym hotelu, lecz doktorowa de Brun, znana z elegancji i konsulowa hrabina de Gus... które do naszego salonu zajrzały i razem z nami orszakom ślubnym się przypatrują, zapewniają, że w takich toaletach na balu królewskim błyszczeć można.

Były to stroje stylowe, obmyślane z gustem i poezją przez tutejsze panie, a wykonane po mistrzowsku przez paryżskie modystki. Dodajmy jeszcze, że twarz i kibić Arabek jest największą, najponętniejszą ozdobą prześlicznych strojów, a czytelnicy domyślą się, żeśmy siedziały niby w galerii żywych obrazów. Typ syryjsko-arabski jest czarujący, pomimo nosów trochę za dużych i braku klasycznej, greckiej regularności. Jest on czarujący, zwłaszcza do dnia ślubu, zanim dobrowolne tycie gwoili upodobaniu mężów, lubiących po nad wszystko pulchne żony—nie skazi kształtów, nie pozbawi oblicza wdzięku trwożliwej gazelli, nie zedrże z koralowych warg emalii wiosennej świeżości, ani aksamitnego połysku ze śniadej, lecz cudownie matowej cery.

Jest to typ niezaprzeczenie wschodni, a jednak nie wspólnego nie mający z judejskim. Krążą przed nami trzydziestoletnie matki dorosłych córek, matki, dla których nie jeden

Anglik gotówby poświęcić wszystkie doczesne i wiekuiste dobra.

Oto przechodzi jedna w perłowej sukni z najwspanialszego lyońskiego brocatu, dźwiga na trenie liście dębowe, haftowane jedwabem, brylantami i perłami, na jej staniku, w jej włosach drżą gwiazdy ze szmaragdów i dyamentów, na szyi siedm rzędów ogromnych pereł—typ Kleopatry. Wygląda smutna—dlaczego? Bo mąż ją niedostatecznie kocha. Ona nie może, nie umie utyc, kobiety z niej żartują. Biedna Kleopatra! jakże w zamian piękna dla naszych europejskich oczu. Zupełnie brzydkiej nie widzimy tu ani jednej. Najmniej ładne są obie panny młode, pomimo wspaniałych białych adamaszkowych sukien, prawdziwemi perełkami niby srebrną rosą obhaftowanych, pomimo przepysznych koronkowych welonów, które im tak misternie upięto na głowie brylantowemi i pomarańczowemi kwiatami, że im twarz prawie osłaniają, a skrzydłami zwijają się aż ku ziemi. A co dziwniejsze jeszcze, obie panny młode są stare—w pojęciu tutejszem, niezadługo mogłyby być babkami, boć jedna z nich liczy 27, druga 28 wiosen. To fenomenalne w kraju, gdzie 14-letnie dziewczątka bywają za mąż wydawane. Te, o których mówimy, odpokutowywały za starożytność rodu—trafiały się partye do gniazd mniej arystokratycznych, a raczej mieszczańskich. Ojcowie ani słyszeć nie chcieli. „Hańbą jest staropanieństwo, lecz potrójną mezialians,“—zadecydowali panowie Mutran i Farah. Panny czekały, aż póki po jedną nie przyjechał rodzony wuj aż z Australii, a druga zrezygnowała się na starszego, nielubianego stryja, posiadającego rodowy majątek na Anty-Libanie i pyszną wille w Baalbeku, którą przez chciwość wydzierżawiał rządowi tureckiemu. Sam zaś z żoną zadawała się domeczkiem z dwóch pokoiów złożonym.

To wszystko objaśniały nam konsulowa i doktorowa de Brun, które od dawna mieszkając w Beyrucie, wszystkich znały i z kącika dla widzów zarezerwowanego, razem z nami zachwycaly się młodziutkami kandydatkami do stanu małżeńskiego, które jak ondyny płynęły po salonie parami w leciutkich powiewnych sukniach, z warkoczami aż ku ziemi sięgającymi. Przypomniały się nam bohaterki Byrona—Zulejki i Medory. Tyle wdzięku w tych wschodnio-greckich obliczach, tyle żaru w tych głęboko osadzonych, czarnych lub ciemno-zielonych oczach. Nadzwyczajnie zajmujące były dla mnie te śliczne podlotki, które zaledwie klasztor opuściły. Co za rozmaitość stylów, co za wykwint w toaletach! Każdy szczegół obmyślony, zastosowany do wzrostu, cery, barwy oczu. Niby to skromnie, dziewiczo, a jedwab szeleści za każdym poruszeniem, oprócz wierzchniej szaty wszystko od pończoch, do koszuli z najprzedniejszych jedwabów.

—Spójrzycie panie na czternasto-letnią siostrę panny młodej—opowiadała konsulowa,—przypatrzcie się sukni, która jest arcydziełem smaku, artystycznej pracy, a jednocześnie obrazem ludzkiej nędzy; wykonano ją w klasztorze francuzkim. Widziałam ośm biednych dziewczyn Arabek i Francuzek, zgitych, wzdychających nad krosnami, dla marnego

zarobku 30 centymów dziennie, żeby zadowolić fantazję pani Alut. Sześć miesięcy trwała ta praca, zanim te setki różnobarwnych motylków goniących się po gałązkach konwalii zostały wykonane. We Francji taką pracę ręczną opłaconoby tysiącami franków. Tu za 600 męczyły się biedaczki i dwie ich nauczycielki siostry St. Vincent de Paul, które się w kunszcie hafciarskim kształciły w Paryżu. A jak ona się bezlitośnie targowała, ta magnatka, którą państwo dziś widzą jaśniejącą perłami i brylantami, w sukni z brocatu, którego metr 80 franków płaćła w tu-tejszym Bon Marché, jak groziła, że się przeniesie do protestanckiej szwalni! Biedne Siostry na wszystko się zgodziły. Lecz czyż wobec takiej bezwzględności bogatych można się dziwić, że nieraz dziewczyny od kołyski wychowywane w naszych klasztorach, strzeżone, umoralniane, zaczynające pojmovać obowiązki pomagania matkom-wdowom, z dnia na dzień, przestają przychodzić do zbyt wyczerpującej pracy i rzucają się na najgorszą drogę. Kwestya socyalna, jako teoria rozumowana tutaj dla mas nie istnieje, lecz nieraz, kiedy nędza przejdzie granice wszelkiej cierpliwości, kobiety z dziećmi idą na oślep i mszczą się na winnych i niewinnych.

(Ciąg dalszy nastąpi).



PRZECHADZKI RZYMSKIE.

NA FORUM.—WESTALKI.



(Dokończenie).

W czasach najodleglejszych zarówno we Włoszech, jak i u nas w Polsce, każda osada pasterska posiadała szalas, czy w ogóle rodzaj budynku, gdzie się przechowywał ogień gminy. Trudność w wydobyciu go, przez silne tarcie dwóch kawałków drzewa, narzuciła konieczność stałego przechowywania żaru, z któregooby każdy mógł czerpać. Ponieważ mężczyźni zajęci byli polowaniem, robotą w polu, na pastwisku, w wojnie, przeto pieczę nad ogniem powierzano dziewczynom i wogóle kobietom. Ztąd powstało ognisko domowe i dlatego kobieta została jego stróżem. Podanie utrzymało się przez cześć dla starych zwyczajów i dlatego Rzym miał świątynię Westy i westalki. Trzeba nawet przypuszczać, że w tem właśnie miejscu było pierwotne ognisko osady rzymskich pasterzy, potem piękna świątynka o kilkunastu słupach korynckich, połączonych z sobą siatką brązową dla ozdoby; w roku 1489-tym stała dobrze zachowana, nawet jeszcze w połowie XVI-go wieku i wtedy dopiero zabrano słupy, skutkiem czego runęła. Koło tej marmurowej „kaplicy“ stał posąg Westy; sama świątynia zawsze zamknięta, tajemnicza, z dachem brązowym i pięknymi ozdobami architektonicznymi, dostępną była tylko dla westalek i dla wielkiego kapłana, mieszkającego w sąsiedztwie. Zresztą wiemy jak mniej więcej wyglądała, z monet i płaskorzeźby,

jakie się dochowały w ostatecznej swojej postaci, gdyż dwukrotnie została zburzoną, spaloną, raz podczas napadu Gallów w roku 390-ym przed Chrystusem, a potem w roku 241-ym przed naszą erą, nie mówiąc o późniejszych uszkodzeniach. Spaliły się drewniane krokwie podtrzymujące daszek, bo na nich tylko pożar mógł się ograniczyć. Kiedy zbliżyli się Gallowie, westalki schwyły czempredzej *Palladium* i inne święte przedmioty, przechowywane w świątyni, włożyły je do dwóch naczyń glinianych i zakopały, w tajemnicy, w ziemi, same zaś uciekły do miasta etruskiego, Caere.

Owe *Palladium* przedstawiało archaiczny posążek bóstwa, otoczony jakimś tajemniczym nimbem świętości, zapewne jako jeden z najstarszych posążków, jakie Rzymianie otrzymali od Etrusków. Nie wiemy, jak wyglądał, ale jestem przekonany, że gdybyśmy go mieli, ogarnęłoby nas pewne rozczerowanie na widok sztywnej, hieratycznej, archaicznej figurki, przypominającej wyroby Etrusków, a według podania, wyniesionej przez Eneasza z pożaru Troi. Wystarczyło jednak, aby posążek w ciągu wieków, zwłaszcza skutkiem tajemnicy, w jakiej go trzymano, zyskał rozgłos bóstwa opiekuńczego dla miasta, aby do ostatnich czasów pogaństwa trwało przekonanie, że póki istnieje, Rzym nie zaginie. Westalki strzegły więc, aby ogień w świątyni nie zgasł, a kiedy zdarzyło się, zresztą bardzo rzadko, że nie dopatrzyły swego obowiązku, były karane.

W późniejszych czasach zapalanie łuczywa za pomocą szkła, grubej soczewki, wystawionej na działanie słońca, przyjęło się i było w użyciu, ale w ogóle zagaśnięcie ognia uważano za złowrogą zapowiedź. Dlatego *Pontifex maximus* własnoręcznie chłostał Westalkę za niedbalstwo. Do ceremoniału należało także wrzucanie dnia 15-go Czerwca popiołu, nagromadzonego w ciągu roku w dole posiadzki świątyni, do Tybru.

Widzieliśmy zatem, jak w ciągu wieków urabiała się instytucja Westalek. Przejdźmy teraz do ich pobliskiego obszernego domu, jedyne-go może w Rzymie, obok pokojów Liwii na Palatynie, przypominającego pompejańskie ruiny.

Pierwotnie istniały tylko cztery Westalki, następnie podniesiono je do liczby sześciu i tak pozostało. Skoro tylko ubywała jedna z nich, *Pontifex maximus*, t. j. coś w rodzaju biskupa pogańskiego, wybierał dwadzieścia dziewczynek od lat sześciu do dziesięciu, urodzonych z rodziców wolnych, zamieszkających w kraju, dobrych obyczajów i nieskazitelnego wychowania. Pomiedzy temi następnie losowano albo na Forum, albo później w sali Senatu. Nie wszystkim atoli rodzicom mogło uśmiechać się poświęcenie córki na kapłankę przeczystej Westy; mogły się wymówić rodziny, gdzie już była jedna Westalka, rody mające przywileje lub panielki zaręczone wysokim dygnitarzom kościelnym. Nową Westalkę przyjmował uroczystie *Pontifex*, nazywając ją: *Amata* (ukochana): „*Amato! przyjmuję cię na kapłankę Westy, abys wykonywała obrządek, jaki przepisany jest dla kapłanek Westy, dla dobra ludu rzymskiego, stosownie do najmędrszego naszego prawa!*...“ — brzmiała

formuła sakramentalna. Obcinał jej następnie włosy, aby je zawieszono na lotusie, co nie przeszkadzało, że kiedy odrosły, Westalka, pomimo postrzyżyn, mogła nosić długie. Przez pierwsze dziesięć lat przechodziły praktykę, przez przeciąg drugich dziesięciu wykonywały obowiązki swoje, przez trzecie dziesięciolecie uczyły młodsze koleżanki, poczem mogły wystąpić i wyjść za mąż, co się nie często zdarzało. Najstarsza z nich nosiła tytuł Westalki Przełożonej: *virgo vestalis maxima*.

Nie można powiedzieć, aby ich obowiązki były ciężkie, z Siostrami Miłosierdzia porównywać ich też nie należy. Utrzymywały święty ogień z łuczywa gałęzi drzew „szczęśliwych“, mieć w zapasie wodę, czerpaną własnoręcznie nie z wodociągów, ale ze źródeł krynicznych, miesić ciasto, przeznaczone do ofiar, modlić się za powodzenie narodu, zwłaszcza, kiedy je do tego wezwał najwyższy Kapłan i w pewnych, oznaczonych dniach dokonywać ofiar, występować w ceremoniach publicznych, wzywać pomocy bóstwa dla prywatnych — na tem ograniczała się ich rola. Co rok, w początku Maja, przysyłano im kłosa zboża, aby je łuskały i męły na mąkę, poczem trzy razy w roku, w święto *Luperkalio*ów, we Wrześniu i w święto *Vestali*ów (9-go Czerwca), urabiały placek z solą, t. zw. *mola salsa*. *Vestaliae* uchodziły za święto kobiet; westalkom poselano z miasta przysmaki, piekarze stroili sklepy, osły roznoszące towary ubierano w kwiaty i wkładano im naszyjniki z pieczywa, kobiety rzymskie z ludu i matrony, boso, z rozpuszczonymi włosami, modliły się przy świątyni Westy, składały jej ofiary.

Ale też miały i przywileje; pomimo nawet młodocianych lat, stały po nad prawem, otrzymywały pensje od rządu, mogły używać wozu, przed niemi szedł liktor i wszyscy urzędnicy, nawet konsulowie, ustępowali kroku. Ktoby je znieważył, podlegał karze śmierci. W teatrze, w cyrku, przysługiwały im pierwszorzędne miejsca, opodal łoży cesarskiej. Jeśli przypadkowo spotkały zbrodniarza idącego na stracenie — był ułaskawionym. Wreszcie, chowano je nie przy drogach za murami, jak innych, tylko wewnątrz miasta i to na koszt skarbu. A już co do Westalki Przełożonej, to ta cieszyła się wysokimi wpływami.

Obszerne *atrium*, rozległy dziedziniec, w ich domu, dawał widok na wielką salę, *tablinum*, to, cobyśmy dziś nazwali — salonem. Wiemy jednak, jak Rzymianie, tak, jak dziś lud włoski, spędzali większą część czasu na wolnym powietrzu, mieszkanie więc służyło niemal tylko na spoczynek nocny, bo ciepły klimat wyrobił te stosunki. Poczucia *home*, domatorstwa, które niesie z sobą północne niebo, mieszkańcy tutejsi mieć nie mogli. Dość spojrzeć na domy Pompejańskie, bardzo dokładne dające wyobrażenie, jak np. dom *Wecyuszów*, wytwornie typowy i wybornie dochowany. Z ruiny wieje pustka, zniszczenie, tylko kilka posągów Westalek na podstawach, ustawionych z pietyzmem w dziedzińcu, opowiada dawną chwałę.

Jak i na całym Forum, tak i tu, wspomnienia świetności, długa litania dziewic kroczących w dziejowym pochodzie, choć posągi

marmurowe straciły głowy, nosy lub nogi, nasuwają myśli o znikomości tego świata i ludzkich kolei. *Pudicitiae sacrum* zdeptane zostało stopą czasu.

W koło atrium biegł portyk dwupiętrowy z mieszkaniami panien, urządzonymi wykwiłtami, jeśli się sędzi po marmurach ścian i posadzek. Na co się zdało tyle czystości, cnót, kiedy nawet nazwisk ich dzisiaj nie znamy, a choć o kilku z nich wiemy, czyż nazwiska, jak: Flavia Publicia, Terenzia Flanula (blondynka), Numisia Maximilla, Caelia Claudia, powiadają nam co? Mnie, te nazwiska nie mówią, zbyt są dalekimi. W kuchni i spiżarni znaleziono skorupy jaj, ostryg, amfory do wina, naczynia gliniane i brązowe.

Z bardzo rzadkimi wyjątkami, w ciągu wieków, Westalki cieszyły się najchlubniejszą sławą, szacunkiem, jak świadczą napisy, wychwalające ich cnoty, a zwłaszcza dziewięć wstydlivość. Czasem Pontifex maximus wystawia posąg z napisem, albo rodzina kapłanki uwiecznia posąg dobrodziejki. Jedna z tych Westalek musiała żyć długo i być przedmiotem osobliwszej czci, kiedy aż sześć napisów z posągów Flawii Publici się dochowało.

Jest jednak jeden napis, zasługujący na szczególną uwagę; przewodnicy, oprowadzający cudzoziemców po atrium, zatrzymują się przed nim i pokazują podstawę, na jakiej go wyrzyto. W r. 364-ym (po Chr.), kapituła kapłanów funduje Wielkiej Westalce (t. j. księżni) posąg, dziś już nieistniejący, w nagrodę jej cnót i uczoności. Następnie jednak została uznana za niegodną, pamięć jej potępiono i stosownie do rzymskiego zwyczaju, z marmuru wyskrobano nazwisko. Notabene, jeśli ówczesni poganie mieli wszelki powód skazania jej na zapomnienie, my znów pragnęlibyśmy tem więcej, aby się uwieczniło w pamięci naszych czasów. Prudencjusz bowiem mówi o Wielkiej Westalce, która wtedy przeszła do chrześcijaństwa. Nie można było darować takiej zbrodni! Horacy Marnechi, archeolog chrześcijaństwa, jest przekonany, że owa Westalka, której imię wyrzezanem zostało (jak widoczne jest na napisie), wyrzekła się pogaństwa i—została przeklętą, a my nie mamy powodu, aby nie iść za jego poważnem zdaniem.

Z tem wszystkiem, zdarzało się — wiemy o jakich dwudziestu wypadkach w ciągu wieków, — że Westalka nie dotrzymywała ślubów czystości. Przekonana o zbrodni, nie mogła być oddaną w ręce kata, ale ginęła śmiercią głodową w podziemiu, podczas gdy jej urodziciel umierał pod różgami na placu Comitium. Miejsce, gdzie Westalkę wtrącano, leżało za miastem, z tej strony dzisiejszej bramy Pia, na via Venti Settembre. Pliniusz młodszy zostawił nam nawet opis podobnej strasznej egzekucji za cesarza Domicyana. Księżni-Westalka, Kornelia, posądzoną została o cudzołóstwo z młodym patrycjuszem Celestem. Kiedy zchodziła do podziemnego grobu, spódnica jej zaczęła się o stopień schodków. Wtedy kat schylił się, aby ją odczepić, ale Kornelia z dumą odwróciła się, broniąc mu instynktownym odruchem, aby jego ręka jej nie dotknęła. Nie chciała się przyznać do występku, umierała z godnością, podczas gdy

Celer, smagany różgami, wołał: „Co ja takie go zrobiłem?... nie nie zrobiłem!...“ Zdarzały się również wypadki samobójstw, aby uniknąć sromu i ciężkiej kary.

Dziewice rzymskie strzegące dniem i nocą świętego ognia, ubierały się w wełnianą tunikę, przepasaną sznurkiem, na tunikę narzucały płaszcz bardzo obszerny, zachodzący, kiedy się udrapowały, na głowę i ramiona. Całość — ile sędzić z posągów — sprawia wrażenie praktycznego, estetycznego, powiedziałbym: posagowego odzienia. Podczas uroczystości, ceremonii, używały welonu na głowę, w rodzaju tych, z jakimi panie nasze stawiają się według zwyczaju na posłuchaniach u Papieża, tylko, że dzisiejsze są koronkowe, a tamte były wełniane i zapewne białe. Ułożony na głowie woal spadał aż do ramion, nie niżej, na piersiach zaś przytrzymywała go szpilka w rodzaju broszki. Widzimy to najdokładniej na posagu Westalki, przeniesionym z powodu szczegółów osobliwej wartości do muzeum Term Dyoklecyana na placu Termini. Inne zostały na miejscu, po większej części uszkodzone, znalezione w gruzach, a pomiędzy nimi są nawet takie, które odkopano obok pieca wapiennego, jako przeznaczone do wypalenia na wapno.

Stosownie też do ich stanowiska, pokoiki mieszkań, choć niewielkie (bo salon był wspólnym), odznaczały się pewnem bogactwem marmurów, posiadały freski, może wytworniejsze meble, choć o „komforcie“, w dzisiejszem tego słowa znaczeniu, nie mogło być mowy.

Dom Białych Dziewic przeszedł, można powiedzieć, przez męczeństwo, razem z innymi klasycznymi budynkami, zwłaszcza w XIV-m, XV-em i XVI-em stuleciu, kiedy zaczęto uważać Forum za łomy marmuru i kamienia, ale i to, co pozostało, daje nam odbicie starożytnego piękna pełnej uroku instytucji, mającej osobliwą jakąś poezję, w jaką ów świat nie obfitował. Czy niema piętna idealnego, wzniesłego ów kult wiecznego ognia? czy ogień ten świątyni Westy nie wyglądał na symbol wszystkich narodowych tradycji?

Pośród rozpusty, jaka stoczyła Rzym za Cezarów, one jedne, Westalki, stoją na straży dawnej cnoty, razem z temi rodzinami patrycjuszów, u jakich zachował się „dawny obyczaj“. Tylko, że koło nich świat zaczynał się zmieniać; kiedy przyszedł edykt Teodozjusza, znoszący instytucję, już musiały czuć osamotnienie. Nie można powiedzieć nawet, aby zginęły na wyłomie, gasły, jak ogień, który zgasł ostatecznie w świątyni Westy w roku 394-ym naszej ery. Nowa nauka, Chrystusa, wtargnęła na Forum; nikt ich nie potrzebował.

Ogień, podtrzymywany przez tysiące lat — zgasł ostatecznie raz na zawsze.

Adam Darowski.

Rzym.



Janina Glogerówna.

PO CIERNIOWEJ DRODZE. NOWELLA.



— Moja Stacho, czy i dziś nie było listu od Jerzego?

— Nie, cioteczko.

— To mnie bardzo dziwi — no, i martwi, w tem coś jest!

— Może list zaginął?

— Ty go zawsze bronisz, a jakże!... ale tu żadne tłómaczenie nie pomoże. On ciebie po prostu lekceważy, rozpuścił go, a teraz masz!

— Ależ, moja ciociu...

— Nie mów nic, ani słowa, nie przecz mi! Samaś winna!

Ostatnie słowa wypowiedziane były przez starą kobietę z wielką irytacją, tonem nie miłym i ostrym.

Długą chwilę panowała cisza, potem zaś odezwał się spokojnie młody, dźwięczny głos:

— Niech się cioteczka nie gniewa, proszę; ja go wcale nie miałam zamiaru tłómaczyć, ja sama doprawdy nie wiem...

Tu nagle głos się załamał i umilkł... a po zbladłej twarzy popłynęły łzy...

Tego wieczoru, zamknięta w swoim pokoju na górze, pisała do narzeczonego:

Sosnowa Wola.

Dnia 19-go Marca.—Niedziela.

Mój Najdroższy!

Tak dawno nie pisałeś, a ja jestem bardzo, bardzo niespokojna, bo nie umiem sobie wytłómaczyć Twego milczenia. Na trzy moje listy ani słówka odpowiedzi! To przecież straszne! Jerzy, jak możesz dręczyć mnie tak okropnie? Ty chyba nigdy w życiu nie byłeś niespokojny o bardzo ukochaną osobę i dlatego nie odczuwasz, co się we mnie dzieje. Codziennie oczekuję listu... i codzień na próżno... i boję się o Ciebie...

Jurku, nie dziw się, nie gniewaj się... ale jakże nie mam się lękać i drzeć o to, co jest dla mnie światłem, ciepłem, życiem i wszystkim na ziemi? Więc też lękam się i drzę, że albo mnie kochać przestajesz, albo może jesteś gorzej chory?...

I jedno, i drugie przypuszczenie jest straszne, ale gdybym miała już koniecznie wybrać... to chyba... wybrałabym... to pierwsze.

Nie wiem, co by się wówczas ze mną stało, ale zawsze wybrałabym — to pierwsze...

Bo Ty nie możesz być chory, Jerzy, Ty nie możesz! Bóg na to nie pozwoli.

Ty, taki mądry, dobry, szlachetny — taki potrzebny społeczeństwu. Przecie Twoich sił, Twego życia szkoda na wegetację w sanatorium. Bóg nie pozwoli! Ten, który ptaszkę karmi i kwiaty przyodziewa, czyżby mógł patrzeć obojętnie na mękę, na niedolę ludzką i nie wyciągnąć miłosiernej ręki!

Taka otucha splywa do znękanego serca, kiedy o tem myślę, że zaraz sobie wszystko inaczej tłómaczę i w mniej czarnych widzę kolorach: list zginął na pocście, zawieruszył się gdzieś — alboż to trudno? Może w roztargnieniu zły adres napisałeś, może służący list zgubił, niosąc na pocztę? A może nasz pocztowy Lejbko, zamiast do torby, wsunął do kieszeni w chałacie, a chałat ma taki stary, podarty, — jeszcze po swoim dziadku pewnie — no, i wypadło. Tym, lub innym sposobem, ja listu doczekać się nie mogę, a taka jestem niemądra, że zaraz sobie myślę Bóg wie co, i martwię się.

A Ty, najdroższy, jesteś pewnie zdrow i myślisz o powrocie do nas, do swojej Stachy — prawda, że myślisz? Bo to już termin się

zbliża, kiedy zamierzałeś powrócić... skowronki już przyleciały.

Wiosna idzie... pola jeszcze trochę czarne, ale wiatr od boru i łąk wieje taki świeży... i pachnie coś tak dziwnie... to ziemia pachnie... a skowronki dzwonią, dzwonią... a niebo takie modre.

Rankami jeszcze przymrozki i trawa na łąkach jeszcze się nie zieleni, ale niech-no tylko słonko cieplej przygrzeje, wówczas zobaczymy, jak wszystko zacznie żyć, jak się zbudzi po długim śnie zimowym.

I dla mnie również zacznie się życie. Bo moje istnienie bez Ciebie, skarbie — to jak ziemia bez ciepłych promieni słońca. A to już niedługo, bo wiosna w tym roku ma być wczesna.

Pracuję obecnie dużo, bo przy niedomaganiu cioci, całe gospodarstwo na mojej głowie. Nie opuszczam też lekcji w mojej szkole — żał mi się z dziećmi rozstać, — a i doktorowi Sokolskiemu prawie codziennie jestem potrzebna. Na wszystko trzeba znaleźć czas. Poczciwy ten nasz doktor. Doskonałe się jeszcze trzyma, zawsze rzeźki i pełen młodzieńczego zapału. Utrzymuje stale, że się we mnie kocha, co bynajmniej mu nie przeszkadza życzyć mi szczęścia z Tobą. Owszem, widząc mnie uwijającą się przy swoich chorych, aż ręce zaciera z radości i mówi: „Ta dziewczyna stworzona na żonę dla doktora! Jak mi Bóg miły, Jurek dobrze wybrał. Ja zawsze państwu mówiłem, że ten chłop ma rozum.“ A ja, słysząc to, aż rosnę ze szczęścia i jeszcze bardziej się do pocziwego staruszka przymilam i jeszcze troskliwiej chodzę koło jego biedaków... A duszą, sercem, całą istotą stęsknioną bez granic lecę ku Tobie, tam, hen, w te Twoje śnieżne, cudne góry i mówię Ci: „A widzisz, Jurasku, a widzisz!...“

My, Jerzy, jesteśmy naprawdę stworzeni dla siebie. Sprawdza się na nas ta cudna bajka indyjska o duszach, pamiętasz? — czytaliśmy razem.

Kochamy się strasznie, rozumiemy się doskonale. Drogi nasze wspólne, przekonania jednakie, — cóż mogłoby nas rozdzielić? Cóżby nam mogło zabrać to wielkie, bezgraniczne szczęście, jakie nas czeka?

Ludzie? Nie — ludzie nam nie zrobić nie mogą. Choćby nas krzywdzili i przesładowali całe życie — nie dokażą tego, by nas rozdzielić — a skoro tylko będziemy razem... to już chyba za wszystko starczy...

Bóg? O nie! Ja wierzę, że Bóg dobry, nikomu nie zabiera.

Więc pomimo trosk codziennego życia, pomimo udręczeń ducha, pomimo zawodów gorzkich — będziemy szczęśliwi. Nasza miłość ostoi się wszelkim próbom — prawda Jerzy? O, powiedz, że tak! O, napisz, że mnie kochasz zawsze! O przyjeżdż, przyjeżdż, przyjeżdż! Czekam Ciebie, jak ta ziemia nasza droga czeka wiosny — jak natura cała czeka słońca. Czekam Ciebie... przyjeżdż!... Ty drogi! Ty ubóztwiany! Ty mój!...

A kiedy przyjedziesz, weźmiemy cichy ślub, tu, w Sosnowej Woli, w naszym starym, malutkim kościółku. Ksiądz Perekszlis pobłogosławi nas — on, co mnie chrzczył, spowiadał, i kocha, jak dziecko rodzone... On, co tak po bohatersku przeżył cichy żywot mrówczy... apostołski... anielski... niech on nam błogosławi na drogę życia, na tę naszą, nową, wspólną drogę — dobrze, Jurku, dobrze?

Na ślub nasz zaprosimy wszystkich chłopów z Sosnowej Woli... skowronki będą dzwoniły radośnie... bory będą szumiały... a wiatr przyleci majowy, wonny... bociany zaklekocą na gnieździe... i to będzie nasze „Veni Creator.“

A potem pójdziemy już razem, zawsze ra-

zem, na bojowanie w imię wspólnych naszych ideałów: nieść światło — ciemnym, pomoc — słabym, ulgę — cierpiącym; apostołować miłość... walczyć o tryumf Prawdy w duszach ludzkich.

— „Bądźmy ogniem łańcucha,
Co się poświęca —
Nie myślmy o łatwym cudzie.
Najwyższy heroizm ducha
Jest walka — co nie wybucha
I pracą — bez wieńca.“

Na taką walkę, na taką pracę podajmy sobie dłonie, Jerzy, i bądźmy ogniem tego łańcucha!...

Tvoja Stacha.

I przyszła wiosna.

Łąki pokryły się morzem zieleni, a w tem morzu świeciły gorąco-żółte jaskry, błękitniały modre oczęta niezapominajek i różowe smółki wychylały delikatne kielichy. Czarne do niedawna pola pokryły się bujnem zbożem, a na szerokich miedzach stały dzikie grusze, białe, niby oblubienice w ślubnej szacie. Po łąkach chodzą poważnie bociany, lasy rozbrzmiewały pieśniami słowików, a w ciepłej wodzie stawu rehotwały całe miliony zielonych żab. Ziemia nareszcie zbudziła się z długiego snu, z długiej martwoty, i święciła tryumf życia.

Drogą ode wsi, przez pola, szła młoda panna. Wysoka, bardzo wiotka, w ciemnej sukni i białej góralskiej guńce, zarzuconej na ramiona. Szła równym, spokojnym krokiem, a słońce złośliwie jej bujne, popielate włosy i subtelny profil twarzą. Smutna była. Pomimo pozornego spokoju i pogody odczuć było można, że duch szamocze się w jakiejś strasznej niepewności i z trwogą oczekuje jutra.

Tymczasem miało się ku zachodowi, a wieczór zbliżał się cichy, wonny, prawdziwie majowy. Ta cisza przedwieczorna, ten spokój w naturze, działały widocznie kojąco na znękaną duszę dziewczyny. Objęła miłosnem spojrzeniem, niby pieszczotą, pola i ukwiecone łąki, i białe sady, a dusza jej wołała w serdecznej skardze: „Ziemio, oto masz upragnione słońce, oto pokryłaś się zielenią i kwieciami, oto wszystko, co żyje, śpiewa dzisiaj hymn szczęścia, — tylko mnie ciemno i smutno, tak bardzo, bardzo smutno.“

A potem, jakby mimowolnie, zaczęła zwierzać się ziemi ze swoich trosk...

— „Oto czekam tak długo, ufam, wierzę, pracuję i trwam... trwam... ale mi już sił chwilami brakuje. Znikąd wieści, znikąd ratunku. Gdyby nie ciotka, pojechałabym sama, co bądźby się miało stać, niechby się już raz stało — wszelka pewność lepsza od niepewności — ale dla ciotki nie mogę. Dlaczego on nie pisze — dlaczego on nie pisze? Nic a nic, ani jednego słówka!“

Zagłuszam się pracą, to jest chcę w sobie stłumić tęsknotę i ból — ale nie mogę, bo one silniejsze. Czasami zaczynam wątpić w jego miłość, ale zaraz później ogarnia mnie taka skrucha, taki żal i przeproszam go za to wahanie jednej sekundy. Nie, ja wierzę, że on mnie kocha, że on myśli o mnie, że przyjeżdżie. A może to będzie tak: ja o niczem nie wiem, wracam ze szkoły, jest taki wieczór, jak dziś... a tu na ganku stoi ciocia i woła mnie, abym prędzej szła... biegnę... drzwi się otwierają, a we drzwiach Jerzy. Boże drogi, czy taką chwilę można przeżyć? Czy serce w takiej chwili nie pęka?...

...Podchodzę do niego i cicho kładę mu głowę na piersiach. Nic, ani jednego słowa, ani krzyku, ani łez, ani pocałunków... są milczenia tak wymowne...

...Położę mu głowę na piersiach...

Wielkie rozmarzenie ogarnęło dziewczynę, przystanąła chwilę, i w ostatnich blaskach

zachodzącego słońca, pośród morza zieleni wyglądała, jak cudny kwiat — najpiękniejszy z kwiatów ziemi.

Zbliżając się do dworu, zdaleka ujrzała już ciotkę na ganku i serce zaczęło jej mocno w piersiach uderzać. A może — a może... Są przecież czasami takie przeczucia — jasnowidzenia niemal, czyżby ona, która go tak nie słychanie kocha, nie mogła mieć przez chwilę jasnowidzenia.

Ciotka, której chore oczy raził blask czerwony zorzy wieczornej, przysłoniła je ręką i patrzała na drogę.

— Oczekuje mnie i wygląda, czy nie idę, — szepnęła do siebie dziewczyna.

A staruszka, zobaczywszy ją, zaczęła wołać:

— Stacha, Stacha!

— Idę, ciociu.

— Ale prędzej, prędzej!

— Idę, ciotuchno, co się stało?

Skoczyła ku drzwiom, jak szalona, a tysiąc myśli niesfornych, skłębionych, z szybkością błyskawicy przeleciało jej mózg... Więc jest, więc przyjechał, więc sprawdziło się?...

Stała już przy ciocie, prawie nieprzytomna ze wzruszenia, blada, z falującą gwałtownie piersią, rozszerzone nienaturalnie źrenice wpijały się we drzwi zamknięte, białe, ciche... a usta powtarzały gorączkowo, bezładnie:

— Jerzy, Jerzy, Jerzy...

A ciotka spojrzała na nią z niedającym się opisać zdumieniem i zapytała:

— A ty znowu zkad wiesz?

— Ja wiem, ja wszystko wiem, ja już tam w polu... taka chwila... jedna chwila... wiem, że przyjechał... Ale gdzie on ciociu, gdzie on?... Tyle szczęścia... tyle szczęścia...

A ciotka wzięła ją za rękę i rzekła:

— Stacha, Jerzy nie przyjechał... jest depresza... Jerzy umarł.

Noc.

W pokoju, na górze, pali się świeca w staroświeckim, drewnianym świeczniku, a przy stole, zupełnie ubrana, siedzi Stacha.

Siedzi wyprostowana, sztywna, przerażająca co blada i szeroko rozwartymi oczyma patrzy przed siebie.

Niema w oku ani jednej łzy, w piersi — ani jednego jęku. Jest to rozpacz głucha, zamknięta w sobie i straszna, jak śmierć. Pograżała się w ocean boleści i czuje, że znikąd dla niej niema, i nie może być ratunku. Wszystko skończone raz na zawsze. Życie jej rozłamało się na dwie połowy, a między nimi stanęło jedno słowo groźne i nieublagane: *Nigdy*.

Śmierć byłaby dla niej wybawieniem i jedynym wyjściem z tego błędnego koła udręczeń krwawych i strasznych, ale ona wierzy, więc życia sobie nie odbierze, a skoro dotąd nie umarła...

I musi iść po tej drodze cierniowej sama, zupełnie sama, z przeświadczeniem, że niema na ziemi ani jednego serca, przy którym by się mogła ogrzać. Zresztą, ona nie pragnie już nic od chwili, kiedy tamto, nad życie umiłowane serce bić przestało.

Świeca dopala się w drewnianym, staroświeckim lichtarzu. Godziny płyną...

Przy stole, zupełnie ubrana, siedzi Stacha. Siedzi wyprostowana, sztywna, przerażająca co blada, i szeroko rozwartymi oczyma patrzy przed siebie... a przed nią jest pustka zupełna i noc.



Ś. p.

BRONISŁAW ZAWADZKI.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).



...Kiedy jesień pozółkłe liście strąca, lecą one gromadnie gnane wichrem i zaścielają cicho ziemię do snu zimowego. One spełniły swe zadanie, — posiew przyszłości wszędzie z nową wiosną.

Na drzewie żywota ludzkości także opadają liście, a nie każdy jest tak szczęśliwy i może być tak dumny, aby powiedzieć o sobie, że rola jego spełnioną została. Często-kroć życie strąca go przedwcześnie, gdy jeszcze sił żywotnych dość było, aby móżdż pracować dla siebie i drugih. I nie każdemu danem doczekać pełnej jesieni. Kośba śmierci kładzie zarówno kwiaty, jak żrałe kłosa, jak uwiedle liście; w tej epoce jesiennej coraz liczniejsze powstają mogiły.

Właśnie otwarła się świeża i przyjęła na spoczynek wieczny nie tyle utrudzonego pracownika, ile pracowitego żeńca w czas południowy życia. Ś. p. Bronisław Zawadzki literat i dziennikarz, odszedł w pełni sił męskich z tego świata, choć już 33 lata pracy publicystycznej miał po za sobą w zasłużonym dorobku.

W tym okresie dwadzieścia sześć lat spędzonych przy jednym biurku redakcyjnym, w jednym „Kurrierze Warszawskim“, w jedynym fachu dziennikarskim, — to kawał życia i dowód wytrwałości w podjętej pracy, stałości zasad i kierunku. Umysł to nie był twórczy, ale wyrobiony literacko, ogarniający rozleglejsze horyzonty; jako dziennikarz był ś. p. Zawadzki wyspecjalizowany w swym zawodzie i z umiejętnością i zamięłowaniem uprawiał powierzony mu wyłącznie dział polityczny. Pracowity aż do drobiazgowości, [rzutki i bystry, szczerze i gorąco miłujący kraj i sprawy jego, człowiek najlepszych zasad i czystego serca, przedstawiał ś. p. Zawadzki typ dobrego człowieka i obywatela. Kiedy rok zaledwie temu redakcja „Kurriera Warszawskiego“ obchodziła uroczystości jego 25-ciolecie, koleżeńskość tak wyjątkowa i życzliwość ludzka złożyły się na wymowne i liczne dowody tej pamięci i sympatii, jaką ś. p. Zawadzki zaszczylić zdołał w swoim otoczeniu.

Jako dziennikarz posiadał wiedzę, doświadczenie i zmysł oryentacyjny.

Ś. p. Bronisław Zawadzki urodził się w Galicyi w r. 1849-ym w majątku rodzinnym Iwanówce, jako syn ś. p. Marcina i Janiny ze Zbrożków Zawadzkich, obywatelstwa miejscowych.

Ukończywszy gimnazjum i uniwersytet we Lwowie, spróbował sił swoich w literaturze pod kierunkiem starszego brata, Władysława, literata i publicysty, pisując feljetony do „Gazety Narodowej“ p. n. „Listy Juniusa.“ Ulegając zamięłowaniu i wrodzonym zdolnościom, poświęcił się kierunkowi dziennikarskiemu, stając już jako redaktor i wydawca na czele nowo-założonego we Lwowie „Świtu“, a we dwa lata później „Ruchu literackiego.“ W tygodniku tym współpracowały

najlepsze ówczesne siły, jak: Asnyk, Kraszewski, Lenartowicz, Szujski, Tarnowski, Klaczko, Koźmian i inni, sławni i wybitni w dziejach naszego piśmiennictwa.

Wkrótce potem został ś. p. Zawadzki korespondentem wielu pism tutejszych, jak: „Gazety Polskiej“, „Kłosów“, „Tygodnika Ilustrowanego“, „Echa“, „Wieku“, i „Biblioteki Warszawskiej“, w której zamieszczał przeglądy literacko-artystyczne. Jako tłumacz położył znaczne zasługi, przyswajając nam we wzorowym przekładzie „Estetykę“ Lemeke'go i „Historię literatury“ Scherra, w której dział literatury polskiej samodzielnie opracował. Oddawszy redakcyę „Ruchu literackiego“ Agatonowi Gillerowi, ś. p. Bronisław Zawadzki przeniósł się na stały pobyt do Warszawy i począł pracować najprzód w „Wieku“, a później za staraniem kolegi, Lwowianina, Tadeusza Czapelskiego wstąpił do składu redakcyi „Kuriera Warszawskiego, zostającego naówczas pod kierunkiem Wacława Szymanowskiego. Od tej chwili pracował w działach teatralnym i politycznym. W tym ostatnim od roku 1880-go wyłącznie i samodzielnie.

Krytyki teatralne i artystyczne prowadził szereg lat w wybitniejszych naszych pismach: (w „Bluszczu“, „Wędrowcu“ i w „Echu Muzycznym, którego był przez czas jakiś kierownikiem).

Wraz z ś. p. Bronisławem Zawadzkim ubywa jeden ze starszych, poważniejszych i godniejszych krytyków i dziennikarzy, których sąd oparty był na prawdziwej wiedzy i sprawiedliwości, którzy zadanie swe pojmowali jeszcze jako misję ideową, jako godny postępek kierownika opinii publicznej.

Śmierć zawsze jest nieubłagana, gdy wrywa z pośród rodziny ojca i opiekuna, zwalając na barki żony ciężar utrzymania sierot, ale jest tem okrutniejszą, gdy sprowadza zgon nagły, niespodziewany, w który uwierzyć niepodobna, z którym się oswoić zbyt trudno.

Złożyliśmy zwłoki ś. p. Bronisława Zawadzkiego na Powązkach; dokoła gasła poświata zachodu, a na świeżym mogiłę jego padały jesienne liście...

„Dobry syn wrócił do swej matki-ziemi“...
Pokój mu wieczny!



Z listów do „Bluszczu.“



Paryż, we Wrześniu.

(Dokończenie).

Wszystko się płaci, a nazywa się to „la publicité.“ Większość artykułów przechodzi przez kasę administracyi, a sam miałem tego ciekawy przykład, gdy na żądanie jednego z dyrektorów pewnego wielkiego pisma, przygotowałem pracę o możliwości zawiązania ściślejszych stosunków handlowych pomiędzy Polską a Francją (w epoce bojkotu przemysłu niemieckiego po wypadkach Wrześnińskich). Artykuł mój przyjęto, ale jakież było moje zdumienie, gdy otrzymałem list od administratora, proponujący zapłacenie 500 franków za ową pracę.

— Jakto? — zapytałem, — ja wam wskazuję rynki zbytu dla przeróżnych towarów francuzkich, a wy mnie jeszcze za to płacić kaciecie!

— Zapewne, ale syndykat kupców polskich znajdzie w tem także zysk, powinien więc nam za to zapłacić.

Dzięki tej logice, nawet handlowe sprawy kolonialne przechodzą przez okienka administracyi.

W system paraliżuje mnóstwo spraw, związanych z dobrobytem kraju. Zawsze, gdy tylko wchodzi się w sferę spraw ekonomiczno-handlowych, gdy autor wprowadza jakiś projekt, innowację, gdy rekomenduje jakieś towarzystwo lub instytucję, której działalność finansowa będzie bezsprzecznie nawet pożyteczną, taki artykuł musi być płatny.

Pisma tutejsze tem tylko stoją.

Można zawsze obliczyć w każdym numerze ilość zapłaconych redakcyi wierszy.

„Publicité“ pożera rocznie miliardy. Są firmy handlowe, które połowę swych dochodów poświęcają na reklamę.

Taki Dubonnet np. wynalazca znanego napoju „apératif“, mając rocznego dochodu milion franków, płaci rocznie 800,000 franków za reklamę.

Każde nowo-powstające towarzystwo, klub, instytucja wstawia przedewszystkiem w swój budżet poważną sumę na ową „publicité.“

Znaną musi być u nas „Femina“, ów słodko-lakierowany surbistyczny organ Lafitte'a, który w krótkim czasie rozrósł się niesłychanie, ciągnąc za sobą szereg innych publikacji tego sprytnego wydawcy, jak np. „Musica“, „Je suis tout“, „Farnes et Chateaux“ i t. d.

Każde z tych pism wydało przynajmniej po 50,000 franków rocznie na reklamę, ale sukces był pewny i niezawodny.

Gdy przychodzi do was tutaj człowiek z dobrą ideą czegoś nowego, pierwsze pytanie jakie mu musicz postawić: Wiele trzeba na reklamę?

Dobra reklama zapewnia bezwzględne powodzenie.

Na uzyskaniu tej reklamy opiera się finansowe powodzenie wielkich organów paryskich.

Drobne zajmują się małymi szantażami, rozdmuchiowaniem skandali, łowiąc małe rybki w mętnej wodzie zarobionej przez matadorów.

Są organy, które na czas kampanii wyborczej oddają się na usługi wpływowej osobistości, subwencyonującej pismo dopóty, dopóki jest mu potrzebnem.

I Picard ma w znacznej części swej sztuki słuszość, gdy czarnymi barwy maluje obraz prasy francuzkiej. Rzecz prosta, że jego wredyizm nie mógł podobać się interesowanym, którzy widzieli rozmyślną szarżę i chęć zohydzenia prasy tam, gdzie prawdziwe fakty i tryb życia był podawany.

Ambidextre z początku swej karyery, w epoce swej istotnej wielkości i potędze dziennikarza arcy-wpływowego, przypominał nam żywo Alberta Wolffa, słynnego krytyka z „Figara“, zmarłego przed kilku laty, który parokrotnie sprzedawał po milionie galeryę zarobioną podarkami od artystów, sumienne przetapiając na złoto i przegrywaną w Monte-Carlo przez znakomitego krytyka.

Z tem wszystkiem nie trzeba sobie wyobrażać, że dola dziennikarska w Paryżu jest zbyt zyskowna i świetna.

Zapewne taki Catulle Mendès brał do niedawna około 100,000 franków, obecnie zaś bierze 60,000 fr. za swe krytyki teatralne w „Journal“u.

Lucien Descares, Honeteaux, Baudin, Claretie, zarabiają śmiało kilkanaście tysięcy franków za artykuły i kroniki; Harduin, świetny feljetonista z „Matin“a otrzymuje za swe kilkanaście wierszy codziennych zgryźliwych dowcipów ministeryalną pensję, ale redakto-

rowie stali działów nie wiele stosunkowo zarabiają.

Wielkie dzienniki płacą nieźle. Dawniej świetnie płacił „Figaro.” Dzisiaj dobrze płaci: „Temps,” „Gaulois,” „Matin,” „Figaro.” Inne płacą mizernie. Za nowellę w „Journalu” płacą często 20 franków! W mniejszych pismach redaktorowie rubryk dostają po 150 franków miesięcznie.

Więcej uprzywilejowani dziennikarze zarabiają po 6—10,000 franków rocznie. Naturalnie, każdy z nich w sposób mniej lub więcej legalny stara się zarabiać więcej, dzięki owej „publicité,” dzięki przeróżnym kombinacjom i interesom, za popieranie których otrzymuje się prowizję.

Są dział, które przynoszą duże dochody redakcyom: takim jest wydzierżawienie biuletynu finansowego, który zwykle jest organem jakiegoś bankiera lub aferzysty, pchającego w ten sposób publiczności dane papiery, lub dający wygodne dla swych szerszych kombinacji wskazówki giełdowe, przestregające pilnie przez drobnych graczy, zwłaszcza na prowincyi.

Za dział sportowy najczęściej redakcyja nie nie płaci. Sprawozdawca otrzymuje dwa bilety wejścia na tory, z których jeden sprzedaje za 1,000 franków na rok. Drugi służy mu osobiście. Taki sprawozdawca wchodzi w stosunki z dżokejami, z trenerami, z właścicielami i ma dobre wskazówki do gry.

Od pism do papieru krok jeden.

W paru słowach wspomnę o olbrzymiej papierni Darblay w Essonnes, którą w tych dniach zwiedzałem.

Są to największe zakłady papiernicze we Francyi, a bodaj też jedne z największych na świecie.

Zakłady te, należące osobiście do p. Darblay, produkują dziennie 250,000 kilogramów papieru, zużywając 45 wagonów węgla dziennie, zatrudniają przeszło 2,500 robotników.

Nie ciekawszego nad widok tych wielkich bali drzewa, sprowadzanych z Finlandyi, ze Szwecyi i Norwegii, które odpowiednia maszyna czyści z kory, rozszczepia na kilka kawałów, które idą gotować się w wielkich kotłach.

Potem taki bal drzewa podają maszynie, która go wciąga, wchłania, porywa, w paszczy swej druzgocze, zżuwa i wyrzuca jako miazgę, która odpowiednią kanalizacją przechodzi do stopniowo rozłożonych rezerwuarów, gdzie ciągle płynie woda.

Ten miał drzewny tworzy z wodą i domieszką chemikaliów papę drzewną, która osuszając się zwolna na płótnach metalicznych, daje coś w rodzaju grubej tektury. Ta tektura raz jeszcze przechodzi przez kotły, dodają jej farбки i wreszcie wchodzi w szereg ogrzanych walców, z których wychodzi jako cienki papier.

Sale maszyn czyste, błyszczące, lśniące, zawierają cztery potwory o 1,000 koni każda.

Kiedy się widzi moc i potęgę tłoku, czuje się dopiero jaką tytaniczną wielkość ujarzmił i na usługi swe wziął człowiek. Wszystkie wielkie i małe dzienniki karmią się w Essonnes.

„Petit Journal” i „Petit Parisien,” bijące około miliona egzemplarzy każdy dziennie, „Journal,” „Matin,” mające od 50—80,000 egzemplarzy dziennie, wszystkie wielkie i drobne organy czerpią swój papier u p. Darblay, który siłą pracy, bez trustu zmonopolizował prawie wszystkie wielkie dostawy papieru we Francyi.

Ostatnią kwestyą na dobie jest tutaj... cholera!

Wszystkie pisma podają codziennie biuletyn o jej złowrogiej marszrucie, a ludziska są pełni okrutnej trwogi. Ogłaszają wszędzie konieczne przepisy higieniczne, a jak słusznie zauważył Lucien Descaries, na prowincyi strach jest największy i to właśnie w chwili,

kiedy zdawało się, że odpocznie się trochę po emocjach wojny.

Teraz emocya jest potężna, a że każdy prowincyał pocziwie wierzy we wszystko, co mu pismo daje, więc czuje ową cholere przyzającą za węglem granicznym Francyi, gotową wkroczyć lada chwila.

Nie uważając na te strachy, mieliśmy tu przed paru dniami ładną manifestację sportową: przepłynięcie całej Sekwany w obrębie Paryża, pod 23-ma mostami, które posiada stolica.

Ósmiu pływaków rzuciło się do wody. Czterech tylko dopłynęło do celu, przyczem zwyciężył Francuz Paulus; czwartą była słynna pływaczka australijska, miss Kellermann.

Mała uwaga, którą za pamięci kieruję ku tym, którzy u nas wydają karty pocztowe, zwłaszcza zaś karty z widokami miast i grupami w kostymach włosciańskich. Nader często dopytują się tu u mnie o takie karty, zwłaszcza te, które dałyby pojęcie o ubiorach, chatach i życiu ludu polskiego. Możeby wydawcy takich kart porozumieli się z wydawcami tutejszemi, a ręczę za dobry skutek zabiegów.

A teraz na sercu mi leży dać wam wiadomości o kimś trochę przepadłym, czyj widok dawniej elektryzował tłumy, a który dzisiaj dobrowolnie skazawszy się na milczenie, wraca niedługo w sferę tryumfów i powodzeń.

Mówię o „królu tenorów,” o Władysławie Mierzińskim.

Z przyjemnością zaś tem większą poświęcam mu w liście moim słów parę, że może rozpierzchną się te złośliwe legendy, niewiadomo przez kogo kolportowane, wieszczące koniec jego artystycznej kariery.

Mogę zapewnić, że tak nie jest: głos Mierzińskiego jest zawsze potężny, piękny i wstrząsający, a przybyło mu może jeszcze więcej uczoności, sztuki we władaniu tym olbrzymim organizm, któryśmy dawniej podziwiali.

Przybyło mu też coś jeszcze: znakomite poczucie nauczania. Byłem świadkiem lekcji śpiewu u Mierzińskiego i byłem zdumiony, już nie tylko świetną metodą wykładu, ale natychmiastową niemal przemianą, jaką w parę godzin dokonał, zmieniając odrazu wadliwą emisję ucznia, wydobywając mu głos czysty i dźwięczny, wtedy kiedy przed godziną głos ten dźwięczał nosowo, gardłowo, nieprzyjemnie.

Na tej przyjemnej wiadomości kończę mój list, pewny, że tych parę słów uraduje licznych wielbicieli i przyjaciół naszego wielkiego tenora i ucieszy tych, którzy szukają mistrzów, dla rozwinięcia ukrytych swych skarbów wokalnych.

K. D.-S.

Kronika działalności kobiecej.

— W dniu 2-im b. m., p. Cecylia Gutowska otworzyła przy ulicy Foksal szkołę artystyczno-rzemieślniczą dla kobiet, w której dział każdy prowadzony będzie przez wykwalifikowanego, zdolnego specjalistę.

Blizsze objaśnienia o powyższej szkole podamy w Numerze następnym.

— Z Kassy kobiet.

Zbliżająca się jesień zaznacza się zwykle w instytucyi ruchem leczniczo-pożyczkowym, który zwiększa się jeszcze w miarę posuwania się tej przejściowej pory roku.

Sprawozdanie z posiedzeń Zarządu Kassy we Wrześniu wykazuje: wypłacono pożyczki 14-u uczestniczkom, w summie ogólnej rubli 291, oraz 11 wsparć w summie ogólnej rub. 38. Udzielono porad lekarskich 44, lekarstw wydano 52.

Z. S.

Kroniczka.

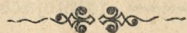


— Chcę pomówić dziś z wami, czytelniczki moje, o tej doli ludzkiej, kiedy to już niema łez, aby płakać, niema słów, aby złożyć, niema sił, aby żyć dalej. Są takie nędze ducha i mroki istnienia, dla których niema światła, ni poradunku. Ale są także takie nędze losu, kiedy to już nie zastawić, nie sprzedać nie można, kiedy widmo głodu zasiada na progu i pomimo rozpacznie załamanych rąk, niema go czem odegnąć. To są nędze bytowania ziemskiego.

Po ziemi naszej rozproszone są istoty, dla których życie jest jedną ustawiczną męką, pasmem szamotań się i braków, powstań i upadków. Nędza jest tem, co przykuwa najbardziej ku ziemi i nie zostawia nawet nadziei na jaśniejszą przyszłość, zatłumia ducha porywy, zaciemnia inteligencję jednostki, a wszystkie jej interesy skupia i koncentruje około jedynej troski zdobycia chleba powszedniego. Bo czyż może być dla serca matczynego boleśniesz okrzyk, jak głodnego jej dziecka, którego ona zaspokoić nie może. Jest w duszy coś utajonego, co wzbrania ugnać się pod brzemieniem niedoli i prosić obcych ludzi o pomoc i kolatać na próżno, i odsłaniać rany swego serca i duszy przed ludźmi obcymi i obojętnymi: jest duma i godność ludzka, jest wstyd dławiący, który zaciśnię gardło, zamyka usta, choć serce płacze; jest wstręt i trwoga przed wymówieniem słowa prośby i strach, jak też to upokorzenie osobiste, ten zadany sobie przymus, przyjętym zostanie. A jednak... jednak matka przemoże wszystko dla dobra dzieci.

I oto jeden obrazek z tej doli. Odeszło dwóch skromnych pracowników z zagona życia, pozostały dwie siostry wdowy (wieczny ciężar społeczeństwa) i *dziesięciorgo* drobniaków. Zostały na te długie dni troski i chęć jeno pracy dla wyżywienia swych dzieci. A o pracę dzisiaj tak trudno! Mają dwie maszyny i chęci dobre, mimo, że siły ustają w niepowodzeniu. Proszą nie o jałmużnę, lecz o możliwość zapewnienia egzystencji swojej dla dzieci i dzieci dla nich samych. Podejmują się sycia, ale tej roboty jest za mało na opędzenie potrzeb ustawicznych. Zarobek ich jest bardzo lichy. Za uszycie bluzki dostaje jedna z siostr 35 kop., za uszycie staranne i wypracowane sukienki dziecinnej 50 kop., przytem nici, czy jedwab na swój koszt. I żyj tu w takich warunkach i wyżyw tę rzęszkę piskląt zgromadzonych dokoła miski i wołających: jeść! Czytelniczki, czy mam dodawać coś jeszcze? Wszak pospieszycie z ratunkiem, z pomocą, dając im pracę, pracę przedewszystkiem! Adres ich: Furmańska 10, m. 80.

— Dnia 26-go zakończyła nagle życie ś. p. *Adela ze Stalińskich Wolska*, żona znanego artysty dramatycznego, Edwarda, w wieku lat 54.



ODPOWIEDZI.

— *Pani Eugenii Malinowskiej w Częstochowie.* — Na pokrycia futer noszone będą przeważnie: sukna, kamgarny, zibeliny i szewioty, z kosztowniejszych materiałów aksamity i plusze. W następnym numerze, w dodatku, pomieścimy przegląd mód, a w nim bliższe szczegóły.

— Złożono w Administracyi naszego pisma
Dla głodnych dzieci:

Pp. M. S. z Konotop rubli 3, Antonina Kumanowska z Białozórki rubli 2.

Treść numeru:

O szczęście dziecka: Samolubstwo, przez Jadwigę z Z. Strokową. — Ploteczki i prawdy, feljeton tygodniowy, przez Parola. — Sąd Boży, obrazek z XII-go stulecia, przez Teodora Jeske-Choińskiego (ciąg dalszy). — Z Tatr (wiersz), przez Stanisława Zdziarskiego. — Nasz Kwestyonaryusz mekzi. — Z pobytu na dalekim szlaku, przez A. Triplinównę (ciąg dalszy). — Przechadzki rzymskie, przez A. Darowskiego (dokończenie). — Po cierniowej drodze, nowella, przez Janinę Głogorównę. — Ś. p. Bronisław Zawadzki. — Z Paryża, przez K. D.-S. (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Kroniczka. — Odpowiedzi. — Ogłoszenia.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 41). — Przepisy kuchenne.

PARYŻ 1900
GRAND PRIX.



ST. LOUIS 1904
HORS CONCOURS.

= Towarzystwo Akcyjne =
FABRYKI MEBLI WIEDŃSKICH

„JAKÓB i JÓZEF KOHN”

WARSZAWA — MARSZAŁKOWSKA 145.

POLECA

MEBLE do codziennego użytku,

Salonowe **MEBLE** Fantazyjne
Gabinetowe Dziecinne

Całkowite urządzenia sypialni
i stołowych pokoi w stylu
„moderne” i angielskim.



Tow. Udoskonalonej Perfumeryi
A. RALLET & C-ie
w Warszawie, Wierzbowa 7.

Poleca:

„LOXOTIS”

„SADDA-JAKKO”

„Groszek-Pachnący”

Do nabycia w Perfumeryach i Składach Aptecznych.

PASTYLKI od ZGAGI

i na polepsz. trawienia

wyrobia apteka **Ap. Kowalskiego**, Graniczna 10, bez dod. klejów, lecz
przez sprasowanie sody z pepsyną. C. 40 k. Sprzedaż w składach aptecz. i apte-
kach. Prawdziwe i bez kleju tylko z 3-kolor. podpis. **Wl. Russyana i firmę Ap. K-go.**

KURSY WYŻSZE DLA KOBIET

im. A. BARANIECKIEGO

istniejące od roku 1868.

Początek roku (po raz pierwszy) 1^{go} a nie 15^{go} października.

Prospekty (za zwrotem tylko porta) przesyła Księgarnia Ge-
bethnera i Wolffa w Warszawie. — Korespondencje zała-
twia sekretarka kursów: Kraków, ulica Karmelińska 36.

Dyrektor: *Józef Rostafiński.*

Józef Jankowski.

ZWROTKI

Wydawn. GEBETHNERA i WOLFFA

Na wytwornym angielskim
papierze z portretem autora



Cena 75 kop.

Zamawiający przez Redakcję „Bluszczu” nie ponoszą kosztów przesyłki.

PUDER

DELICIA

w pud. po 15, 30 i 50 kop.

Centralne Laboratorium Chem.

(Czekay i Krysiewicz) w Warszawie.

Najmilszy, przylegający, niewidoczny.

Sprzedaż w składach aptecznych i perfumeryach.

PRACOWNIA STROJÓW
Damskich i Dziecinnych

pod firmą

„Paryski Salon Mód”

Krucza № 34, m. 1.

Przyjmuje do roboty kapelusze
z własnych i powierzonych mate-
riałów, oraz wszelkie pszeróbki.

Przyjmuje też płatne uczennice
na własnych materiałach.

Stanisława.

BIURO NAUCZYCIELSKIE
MARJI NOWORYTO
Warszawa, Marszałkowska 94.
Poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

BIURO NAUCZYCIELSKIE
WASILEWSKIEGO,
Warszawa, Marszałkowska 123,
poleca: nauczycielki, bony, freblówki;
sprowadza cudzoziemki.

Miłosierdziu naszych czytelników i czy-
telniczek polecamy byłego nauczyciela szkół
rządowych, pozbawionego pracy, chorego
i wycieńczonego, bez środków do życia,
Adres: Nowy-Świat № 62 m. 28.

Zapowiedziana przez Redakcję tygodnika „Bluszcz”

KSIĄŻKA ZBIOROWA p. t.

„Kobieta Współczesna”

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objęto-
ści 366 str. wielkiego formatu opuściła prasę i jest do nabycia
w administracji „Bluszczu.”

Prenumeratorki „BLUSZCZU” płacą za
powyższe dzieło

tylko rb. 1.

Przesyłka pocztowa kop. 40.

Cena księgarska rb. 3.

KURSY FREBLOWSKIE ze słöydem i rysunkiem
Zakład **Jadwigi Chruszczewskiej** Warszawa Nowy-Świat 21
przyjmuje pensyonarki. Francuzka stale. Po skończeniu udziela świadectw, daje
posady, lekcye. Ceny przystępne.

Towarzystwo Akcyjne

„Gazety Polskiej”

z kapitałem 250,000 rubli (1000 akcyi po 250 rubli).

W dniu 9 czerwca r. b. uzyskała zatwierdzenie Najwyższe ustawą Towar-
zystwa Akcyjnego „Gazety Polskiej” pod nazwą:

TOWARZYSTWO AKCYJNE

zakładów i wydawnictw

„GAZETY POLSKIEJ”

w Warszawie,

z kapitałem 250,000 rubli, rozdzielonym na 1,000 akcyi, każda po 250 rubli.

Założycielem Towarzystwa jest obecny redaktor i wydawca „Gazety Pol-
skiej”, Jan Gadomski.

Według § 1 Ustawy. Towarzystwo, obok innych praw, jakie mu przysłu-
gują, ma prawo posiadać i wydawać wszelkiego rodzaju wydawnictwa, a w pierw-
szym rzędzie te, które są dziś walsnością Jana Gadomskiego, t. j. „Gazetę Pol-
ską” i „Bibliotekę Dzieł Wyborowych”. Dla nabycia też i prowadzenia tych wy-
dawnictw, łącznie z drukarnią, a względnie dla prowadzenia innych wydawnictw,
dla nabycia dla swoich zakładów osobnego domu i t. p. zakłada się to Towarzy-
stwo Akcyjne „Gazety Polskiej”.

Nasze Towarzystwo Akcyjne dla wydawania pisma codziennego jest pierw-
szem tego rodzaju w Państwie.

Zapisy na akcye Towarzystwa Akcyjnego zakł. i wyd. „GAZETY POLSKIEJ”,
przyjmuje założyciel Towarzystwa, Jan Gadomski, w lokalu Redakcyi „GAZETY POL-
SKIEJ” w Warszawie przy ul. Wareckiej 14.

Zapisy mogą być nadsyłane pocztą.

Ustawę każdy otrzymać może na żądanie.

Założyciel Towarzystwa Akcyjnego zakładów i wy-
dawnictw „Gazety Polskiej” w Warszawie

Jan Gadomski.

Wydawca: *Piotr Laskauer.* — Redaktor: *Maryan Gawalewicz.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Сентября 1905 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.

(Dok. opisów do Nr. 40).

№ 8. Suknia z aksamitu, z gorsecikową spódnicą. (Patrz szkic b). (Krój odw. str. tabl. Fig. 62—75).

Suknia z prążkowanego, granatowego aksamitu składa się ze spódnicy, gorsecikowo zakończonej w stanie i z krótkiego, równo ściętego kaftanika, wypełnionego strojną kamizelką z białego tafetas, Valencienni i białego chifon. Przybranie sukni stanowią: plisy z granatowego cienkiego sukna, zastępowane w drobnutkie, w zab schodzące się zakładeczki, wypustki z materii pekine w białe i granatowe paski, oraz emaljowane granatowe guziki ze złotą obwódka.



№ 2. Filcowy kapelusz dla dziewczynki od 7—9 lat.

№ 10. Skromny szlafroczek, przybrany łatwym haftem. (Krój i deseń pierw. str. tabl. Fig. 26—29).

Bardzo zręczny szlafroczek z szarego puchowego materiału, przybrany łatwym haftem, wyszyty czarną jedwabną włóczką w około prostego karczka, na wyłogu, kołnierzu i rękawach. Deseń haftu podaje Fig. 29. Gruby wełniany sznur, w kolorze materiału, zakończony pomponami lekko obciska szlafroczek w stanie.

№ 11. Ranny kaftanik. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 30—36).

Zręczny kaftanik z szafirowego szewiotu lub z flanelki, przybrany szlaczki haftowane szafirowym i zielonym jedwabiem, oraz



№ 3. Ubranie dla chłopca od 12—14 lat.



№ 1. Paltocik dla dziewczynki od 9—11 lat.



№ 4. Suknia dla panienki od 14—16 lat.

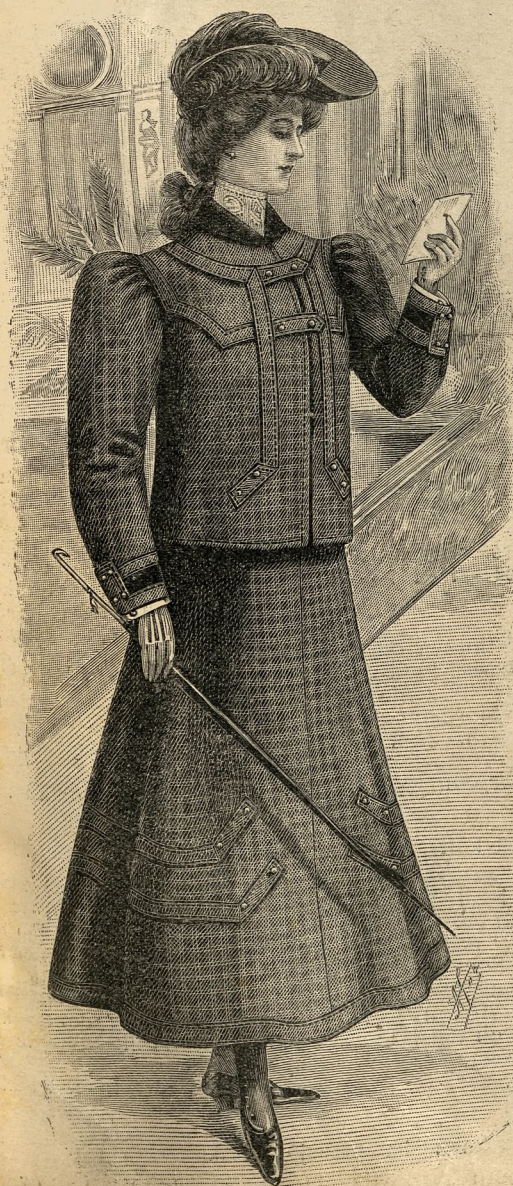
№ 5. Suknia z materiału w kratę, przybrana aksamitkami dla panienki od 14—16 lat.

№ 9. Strojna bluzka dla młodej osoby.

Bluzkę z białej materii louisine strojnie i pięknie przybrana karczkiem, ułożony z koronkowych motywów, połączonych mereszka i tasiemeczką *point lace*. Bluzka, kryto zapięta z przodu, ułożona w kształcie krótkiego, ostro ściętego kaftanika w drobne zakładeczki, dopelniona wąską, koronkową wstawką. Ta sama wstawka dwukrotnie opasuje stojący, z tyłu zapięty karczerek. Rękawy szeroko skrojone, gigot, zmarszczone na dobrze dopasowanej podszewce. Na szwach: zewnętrznym i wewnętrznym zmarszczone gładko, środkiem zmarszczone z główką 1½ ctm. szer.—Karczerek zapięty na drobne kardki z wąskiej wstążeczki.

Potrzeba: 4½ mtr. materii, 4 mtr. koronkowej wstawki 2 ctm. szerok., 23 koronkowe motywy, 3 mtr. koronki 80 ctm. chifon podw. szerokości.

emaljowane, fantazyjne guziki. Szlaczek naszyty na karczku, przedłużonym prosto do końca przodów, na stojącym kołnierzyku i na mankietach. Przody zastępowane w dwa szeregi drobnych zakładek. Takie same zakładki zastępowane na rękawach, powyżej, przy szwie wewnętrznym zmarszczonych. Naszyte zaokrąglone w kształcie patek uzupełniają guziki.



№ 6. Kostium z luźnym kaftanikiem dla młodej panienki



№ 7. Kostium z etonem dla młodej panienki.

№ 2. Filcowy kapelusz dla dziewczynki od 7—9 lat.

Potrzeba: 4 mtr. wstążki 10 cent. szerokiej.

Potrzeba: 2½ mtr. kamgaru podw. szer., 15 małych guzików, 4 duże, 1½ mtr. podszewki.

№ 4. Suknia dla panienki od 14—16 lat.

**№ 8. Strojna sukienka dla dziewczynki
od 9 – 11 lat.**

№ 1. **Paltocek dla dziewczynki od 9—11 lat.**

A black and white illustration of three people in late 19th-century clothing. A woman in a dark sailor-style dress stands in the center, flanked by a young girl in a plaid dress on the left and a young woman in a plaid dress on the right. The girl on the left holds a sign that reads "L'Angeli a l'ick / Poznań".

№ 16. Ubranie dla chłopca
od 9—11 lat.

**№ 17. Zreformowana sukienka
dla dziewczynki od 12 — 14 lat.**

Potrzeba: 5 mtr. wełnianego materiału podw. szer., $\frac{1}{2}$ mtr. białego sukna, 36

№ 6. Kostyum z luźnym kaftanikiem dla młodej panienki.

Potrzeba: $4\frac{1}{2}$ mtr. materiału podw. szerok., $\frac{1}{4}$ mtr. aksamitnego ukosu, 2 tuziny zików, 4 mtr. materiału na podszewkę.

**№ 9. Sukienka dla dzie
od 1—2 lat.**

Potrzeba: $4\frac{1}{2}$ i
materiału podw. sz.
70 ctm. aksamitn.
ukosu, 1 mtr. por-
wej materyi, 4 de-
24 małe guziki.

№ 5 Suknia z mater
w kratę, przybrana
aksamitkami dla panie
od 14 — 16 lat.

Suknia z matery w kratę, skośnie i jonego, składa się z gładkiej, w górę zakładeczki zastawianej spódnicą i stanika naśladowującego krótkie bolero. Spódnicę przybiera naszytą z czarnej aksamitu, w dole gładką, z dwóch wyższych szeregach przerwaną przodzie i zakończonej петельkami. Krótki

tanik, złożony z dwu
wana jest w drobne
przedłużeniem karci
kołnierzyk haftowa
ki, przykrywające
zkiego rękawa, za
c. białego sukna, 36
nki.
m, składa się z gład
sankla formą sac. P
kończach w zab dwi
arna, wyżej dwie, m
tworzą rodzaj karci
nuziczki pokrywają
nie kostiumy, takiz
aftanik wykończony
tego ukosu, 2 tuziny

№ 7. Kostyum z etonem] dla młodej panienki.

№ 8. Strojna sukienka dla dziewczynki od 9—11 lat.

Potrzbą: 4 mtr. woalu podw. szer., 20 mtr. koroneczki 2 ctm. szer., 22 mtr. wstawki teje szer., 3 mtr. mereszki, 3 mtr. waziutkiej wstaweczki, 1½ mtr. wstawki gipiurowej, 5 ctm. szer., 5 mtr. wstążki 3 ctm. szerokiej.

№ 9. Sukienka dla dziecka od 1 — 2 lat.

Potrzeba: 1½ mtr. szewiotu podw. szer., 9 mtr. tasiemki ½ ctm. szer.

№ 10. Okrycie i kapelusz dla dziecka od 1—2 lat.

№ 10. Okrycie i kapelusz dla dziecka od 1—2 lat.

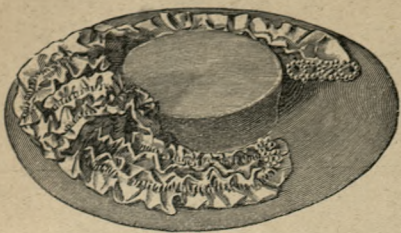
Plaszczyk z białego sukna na podwatowanej, wypikowanej lekko, półjedwabnej podszewce, zapięty na 2 rzędy dużych, ładnych perłowych guzików.

Gładkie przody, stanowiące jedną całość z karczkiem głęboko zachodzą jeden na drugi. Marszczonki boki łączą się z marszczonkami również plecami, wszyszymi w karczku. Wykładany kołnierz, łączący się z kłapkami, wysztytowany, albo niebieskim akksamitem. Rękawki paltotowe zakończone gładkim mankietem. Całość wykończona stebnowką.

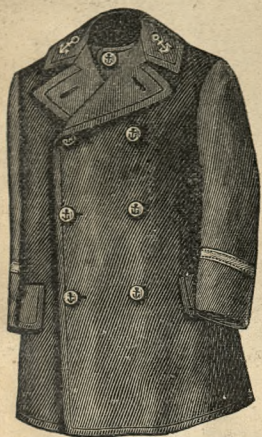
№ 11. Ubranie na deszczową porę dla lalki.

№ 12. Sukienka dla dziewczynki od 6—8 lat.

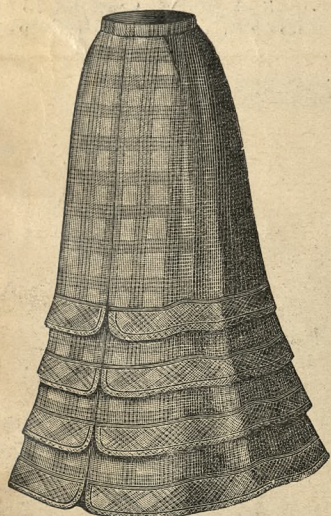
Potrzeba: 1 $\frac{3}{4}$ mtr. sukna podw. szerok., 15 ctm. aksamitnego ukosu. 6 guzików, 2 mtr. półjedwabnej podszewki.



№ 24. Filcowy kapelusz dla dziewczynki od 9—11 lat.
(Potrzeba do przybrania $\frac{1}{2}$ mtr. materii w kratę).



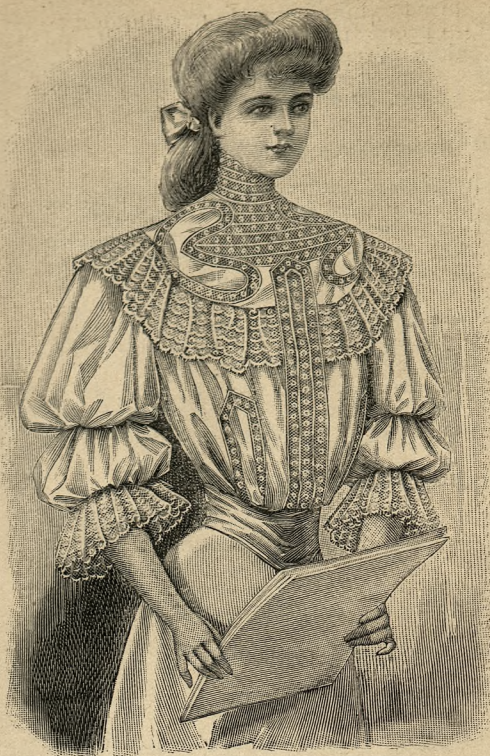
№ 26. Paltocik dla chłopca od 4—6 lat.



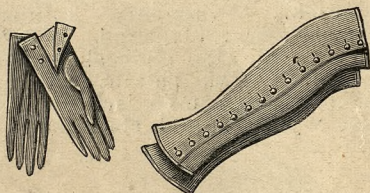
№ 31. Spódnica do kostiumu dla dziewczynki od 11—13 lat.

Obiad na Niedzielę.

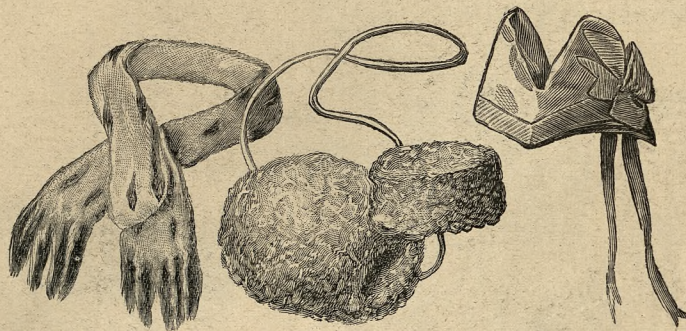
Barszcz czysty z pierogami w drożdżowym cieście.
Sandacz po polsku.
Comber barani z sosem Soubise.
Kalafior.
Kaplony i kuropatwy.
Kompot—salata.
Galaretka ananasowa.



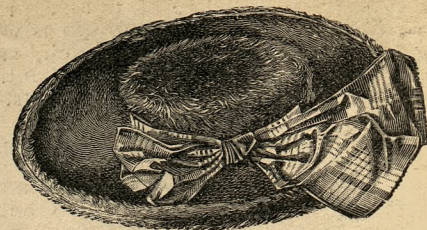
№ 27. Strojna bluzka dla młodej panienki.



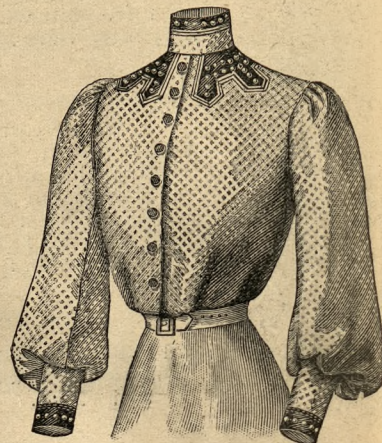
№ 29 i 30. Rękawiczki skórzane z ciepłym podszyciem i zapinane kamasze sukienne dla dzieci od 6—8 lat.



№ 32, 33 i 34. Kołnierzyk z imitacji gronostajów, mufka, ozapeczka z jasnych karakulów i ozapeczka szkocka z ciepłego materiału.



№ 25. Kapelusz dla dziewczynki od 11—13 lat.
(Potrzeba do przybrania $1\frac{1}{4}$ mtr. fularu pongé, 2 stalowe klamry).



№ 28. Bluzka dla dziewczynki od 11—13 lat.



№ 35. Paltocik dla panienki od 12—14 lat.

Obiad na Niedzielę.

Barszcz z pierogiem w drożdżowym cieście.
Potrawka z mostków cielęcych z ryżem.
Zając z borówkami.
Bita śmietana z biszkopciakami.



№ 36. Spódniczka z sukna. (potrzeba 3 mtr. mat. podw. szer.).

№ 37. Bluzka z materiału w kratę i z gładkiego sukienka. przybrana aksamitkami dla panienki od 13—15 lat.



№ 38. Sukienka flanelowa dla małego dziecka, przybrana karczkiem z zakładkami i haftowanymi szlaczekami.

№ 39. Płaszcz kaszmirowy dla małego dziecka, przybrany mereszkami i frenzlą.



№ 40. Okrycie z materiału angielskiego w kratę dla panienki od 12—14 lat.

№ 41. Paltocik z materiału double faze dla panienki od 14—16 lat.